

ŻYCIĘ

ROK XI NR 46 (543)

NIEDZIELA, 17 LISTOPADA 1957 R.

CENA 1/6.



Wreszcie na leśnym dukcie zjawił się jeleń... (Patrz opowiadanie na stronie 10)

Niedziela, 17 listopada 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja Rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie: s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (/); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ZYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 lam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: **Argentyna:** „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia:** „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister**, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia:** **Mme E. Kulakowska**, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia:** **Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania:** **Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja:** **Ks. K. Stolarek**, 29 Av. du Gen. Lecerre, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), C 5 603 40. **Holandia:** **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada:** **Canadian Mosaic Publishers**, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy:** **St. Mikiciuk**, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia:** **B. Lubiński**, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.:** „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski**, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz**, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E”, Bayonne, N. J.; **Veritas Americana**, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria:** **Mme B. Gierszewska**, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja:** **Mgr. B. Z. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy:** **Mme Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

LISTY DO REDAKCJI

WOŁĘ KISIELA OD KISIELEWSKIEGO (STEFANA)

Redakcja ZYCIA zaprasza do zabrania głosu na temat artykułu Stefana Kisielewskiego pod tytułem „Czego chcemy od emigracji”. Nie wtrącając się w sprawy polityczne, chciałbym się przywrzeć sądom p. Kisielewskiego o emigracji „literackiej”, czyli o literaturze „emigracyjnej”.

Od lat jestem zapałonym czytelnikiem felietonów Kisielewskiego. Gdy ciemności kryły ziemię polską, Kisielowe światelko zdrowego rozsądku, liberalizmu, humoru, nim uległo stłamszeniu, błyszczało bardzo przyjemnie. Kiedy się niedawno pojawiła znów na pojaśniałym widnokręgu, gwiazdka Kisielewskiego przyblakła. Złudzenie optyczne? Może.

Nie chodzi tylko o to, że Kisiel się skwasiał. Zauważyli to już inni i on sam się z tego tłumaczył. Nie chodzi tylko o to, że smak jest inny. Smak jest gorszy. Dawny Kisiel, nim by napisał zdanie w rodzaju: „Również indywidualne osiągnięcia pisarskie emigracji mają w Polsce swoje wyraziste echo” — nie omieszkałby zadać sobie pytania: Czy istnieją kolektywne osiągnięcia pisarskie? Uśmiechnąłby się na tę myśl, po czym bądź to by takiego zdania nie napisał, bądź też napisałby je inaczej. Albo: „publikacje odcięte od soków pulsującego w Kraju (przez duże K) życia...” Przecieram oczy. Parodia? Niestety, nie. Poważna „wypowiedź”.

Takie tromtadrackie sztance wytłumaczyć można chyba tylko pośpiechem, brakiem czasu. Ale im się ma mniej czasu, tym ostrożniej trzeba sądzić. Pean na cześć „Kultury”, zdawkowy ukłon w stronę gospodarza — Veritasu — i kubek zlego humoru wylany na „Wiadomości” są niepoważne, a przy tym — to właśnie jest zabójcze — nie dowcipne. Tylko przedni dowcip, którego próbki Kisiel tyle razy dawał, mógłby rozgrzeszyć takie bezmyślne mlaskanie i chlastanie. P. Kisielewski wylicza dobrze znane i cenione w Polsce nazwiska pisarzy emigracyjnych: Miłosz, Gombrowicz, Parnicki, Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski i Mieroszewski. Znacne grono, nie ma co. Ale warto zauważyć, że najmłodszy z tego grona: Nowakowski i Herling, z żadnym innym pismem nie byli tak silnie związani jak z owym „charakterystycznym przykładem starszego urzędu”, czym są dla p. Kisielewskiego „Wiadomości”. A gdzie drukowali najbardziej młodzieńczy publicyści polscy: Stanisław Mackiewicz i Wacław Zbyszewski, nie zrównoważeni zapewne, swawolnie zapewne, ale przecież na miły Bóg nie gorsi od Mieroszewskiego, który też szczytów powagi i poczucia odpowiedzialności nie sięga?

A gdy się wylicza czołowe nazwiska, nawet najbardziej fragmentarycznie i w największym skrócie, przynajmniej trzech nie godzi się pomijać: Pawła Hostowca (Jerzego Stempowskiego), Józefa Mackiewicza i Czesława Straszewicza. Wszyscy są bliskimi współpracownikami „najbardziej dla emigracji reprezentatywnej i arcyciekawej w skali wręcz światowej” — „Kultury”.

Jeśli zaś idzie o Józefa Mackiewicza, ze smutkiem trzeba przypomnieć niewybredną napaść p. Kisielewskiego na tego pisarza (w rozmowie z redaktorem „reprezentatywnej i arcyciekawej” „Kultury”), dotąd nie odwołaną mimo protestów, które wyszły z zespo-

łu tegoż reprezentatywnego i arcyciekawego miesięcznika paryskiego.

Uff! Zirykowałem się i zacietrzewilem. Mea culpa. Nie złościłbym się tak na jakiegos Florczaka czy innego Jasienicę, ale zawód, jaki sprawił mi Kisiel Rozumny, Kisiel Odważny, Kisiel Dowcipny, Kisiel tak mi z tyłu względów bliski, Kisiel Okaz Bezczenny katolika-liberaja, Kisiel jedyny z klanu polskich felietonistów, który zna i ceni Karola Irzykowskiego — ten zawód jest zbyt bolesny.

Ufam, że będzie przejściowy. Mam nadzieję, że po ochłonięciu z wrażeń swej emigracyjnej peregrynacji, p. Kisielewski weźmie się do lektury pisarzy i czasopism polskich za granicą (nie powinien w swym bagażu żałować im miejsca, bo posejska walizka latwiej przejdzie przez ucho igielne cenzury niż przesyłka pocztowa) i nawróci się na piękną zasadę: Nie krzycz: huzia, hajda i hop-sasa, póki się nie przekopiesz.

Bardzo się będę cieszył, jeśli p. Kisielewski, poznawszy naprawdę polskie życie literackie na emigracji, osądzi je potem surowo, bezlitośnie. Fr. cz. z taryfą ulgową! Niczego literaturze polskiej, i „tu” i „tam”, bardziej nie trzeba niż krytyki ostrej, ciętej, wymagającej, namiętnej, nawet zjadliwej. Ale opartej na znajomości przedmiotu, skrupulatnej, rzetelnej. I nie tylko to. Nie jestem entuzjastą londyńskich „Wiadomości”, bliższa jest mi — mimo swych wad — „Kultura”. Ale gdy p. Kisielewski szast-prast, jedynym machnięciem pióra przekreśla wieloletni dorobek benedyktyńskiej pracy Grydzewskiego, gdy nonszalancko powtarza głupie plotki o autorze „Drogi do nikąd” (znowu: jego poglądy polityczne są mi najzupełniej obce) — jest mi wstyd, że robi to człowiek z naszej, katolickiej parafii. I dlatego dodaję: ostra, zjadliwa krytyka powinna być nie tylko rzetelna, ale prześwietlona miłością i szacunkiem dla tych wartości ludzkich i kulturalnych, które tkwią w każdym zjawisku, godnym tego, by je atakować. Nieboszczycy Marks i Lenin, jako postacie historyczne, to dla mnie wielone szatany, najgorszy wrogowie ludzkości, ale nie uważałbym się za chrześcijanina, gdybym nie umiał dojrzeć w nich lucyferycznej wielkości. Toutes proportions gardées, odnosi się to do każdego obiektu naszej krytycznej pasji.

Przykro mi, że takim obiektem mojej irytacji stał się sympatyczny Kisiel-Kisielewski (pora dokonać integracji tej znacznej osoby). Starałem się w tej napaści rozsiać tu i ówdzie wyrazy najszczęśliwszego uznania za to, co w nim mądre, miłe i ładne. Tymi też wyrazami szacunku kończę niniejszą epistołę.

Michał Sambor

SPRAWA JEST JASNA

Szanowny Panie Redaktorze,

Ponieważ Redakcja ZYCIA zaprasza do dyskusji nad oświadczeniem St. Kisielewskiego — przeto, jako czytelnik, uważam niejako za obowiązek przyłączenie się do rozmowy.

Klasyfikacja i podział emigracji niewiele mają wspólnego z pytaniem w tytule. Wydaje mi się, że wstęp ten jest dla p. Kisielewskiego przysłówiowym ogarkiem.

Pewnie, że część emigracji wynarodowi się wcześniej niż w Kraju będzie zbudowany socjalizm (bolszewizm), ale twierdzenie „nigdy nie powróci” z pewnością jest niezbyt trafne w odniesieniu do żyjących.

Klasyfikacja emigracji literackiej — to już osobisty rozrachunek p. Kisielewskiego z zespo-

łem „Kultury”. Jeśli to „Kulturze” nie zaszkodzi to „Wiadomościom” z pewnością nie. Zrozumienie? Tu sprawa jest jasna. Partia jest instrumentem rządzenia z ramienia okupanta. Cały Kraj jest antyrosyjski, a tym samym antypartyjny. Myślę, że i Gomułka nie łudzi się, iż coś innego wyniosło go na czoło Kraju.

Naród a partia, to wcale nie to samo, a nawet są to pojęcia przeciwstawne. Nie mogą sobie wyobrazić poparcia politycznego dla partii ze strony emigracji.

Emigracja, to część narodu żyjącego poza działaniem „nieublaganej aktualności”. Poparcie więc ze strony emigracji byłoby wprowadzaniem w błąd tak narodu, jak i innych krajów. Popierać — to znaczy akceptować. Nie możemy akceptować tego, czemu jak najbardziej przeciwny jest nasz naród.

Popierać a nie strefnić się i nie uznawać, to niestety nieublagana konieczność dla Kraju. Ale nie dla emigracji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

J. B.

(Nazwisko znane jest Redakcji)

PODZIĘKA I UZNANIE

Szanowny Panie Redaktorze!

W podziękę za reportaż ZYCIA z dnia 13 października br. nr 41 z koncertu w Royal Festival Hall w Londynie, otrzymałam od artysty Stanisława Niedzielskiego bardzo miły list (Paryż 22. 10. 57), oraz wyrażoną w nim chęć ofiarowania do rozsprzedaży 500 biletów z jego następnego koncertu na „cele polskie”.

Uważając pismo S. Niedzielskiego za jeden z efektywnych sukcesów Redakcji ZYCIA, z radością podaję tę wiadomość Panu Redaktorowi.

Równocześnie pragnę zaznaczyć, że z prawdziwą przyjemnością przeczytałam w ZYCIU esej o Sibeliusie, napisany przez A. Kisielnicką, a umieszczony pod tytułem „Kompozytor dalekiej północy” w nrze 41 ZYCIA. Jest bardzo pięknie napisany i autorce należy się uznanie.

Z poważaniem S. Niekraszowa

KRONIKA

U PROGU WIELKIEJ NOWENY NARODU PO ZJĘZIE KATOLICKIM W LEEDS

Tegoroczny swój zjazd programowy zwołał Instytut Polski Akcji Katolickiej do Leeds, aby umożliwić jak największej ilości ośrodków parafialnych wysłanie nań swych delegatów. Zjazd odbył się w dniach 19 i 20 października, a celem jego było omówienie treści i sposobów realizacji tegorocznego założenia programowego polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, które brzmi: „Walczyliśmy wraz z całym narodem o wierność Bogu, Kościołowi i chrześcijańskiej Ojczyźnie.

Uczestników zjazdu i gości świeckich i duchownych przybyłych z Londynu powitał ks. dziekan H. Czorny.

Obrodam zjazdu przewodniczył inż. H. Lipiński, który do prezydium zaprosił wszystkich przybyłych przedstawicieli IPAK i jego delegata na Szkocję, inż. T. Ziarskiego, delegata „Iuventus Christiana p. Idasiaka oraz p. M. Świtalskiego — przewodniczącego Koła Akcji Katolickiej, p. T. Jaryczewskiego — przewodniczącego Komitetu Parafialnego i p. S. Sołtysika — przewodniczącego Koła Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Po odmówieniu przez ks. infułata Michałskiego modlitwy na intencję obrad zjazdu, p.

NOWA SERIA WYDAWNICZA ARKUSZE POETYCKIE

wydane przez

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH NA OBCYZIŃNIE

przy udziale

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO

„VERITAS“

ARKUSZ POETYCKI NR 1

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

Na wszelki wypadek

CENA: szyl. 2/-; dol. 0.30; fr. fr. 120.

ARKUSZ POETYCKI NR 2

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

Zmiany

CENA: szyl. 2/-; dol. 0.30; fr. fr. 120.

Do nabycia:

W Katolickim Ośrodku Wydawniczym

„VERITAS“

12, Praed Mews, London, W. 2.

oraz w KSIĘGARNIACH

PUNKTY WIDZENIA

WYŚCIG MAŁYCH KSIĘŻYCÓW

Głowy obywateli państw zachodnich zachodzą już wreszcie chłodnieć po wrażeniu, jakie sprawiło wysłanie w przestrzeń dwóch „sputników” sowieckich. Zaskoczenie, podziw, a nawet zgola cięły zachwyty, na szczęście mijają, ustępując miejsca uczuciu na polu obawy, na polu zawodu, że to Sowiety wypuściły w przestrzeń pierwszy sztuczny księżyc. Nastrój staje się więc trochę bardziej normalny, nie ma już egzaltacji, w jakiej przez kilkanaście raczej przykrych dni pogrążono były pierwsze strony wielkich dzienników międzynarodowych. Można na sprawę „sputników” spojrzeć spokojnie.

Jest prawdą, że z wystrzeleniem w przestrzeń pierwszego sztucznego satelity, zaczął się jakiś nowy rozdział historii rozwoju technicznego ludzkości. Tylko, że ten fakt nie ma nic wspólnego z treścią wewnętrzną i ustrojem państwa, które pierwsze tego dokonało. Wyrzucenie do przestrzeni małego księżycy i zmuszenie go do krążenia po orbicie wokół globu ziemskiego nie jest wynikiem jakichś specjalnych, nadzwyczajnych uzdolnień, nabywanych przez ludzi żyjących w ustroju komunistycznym. Ten wyczyn jest po prostu dziełem umysłu człowieka, nie konieczne z takim czy innym narodowym czy ustrojowym przymiotnikiem. Po prostu: człowieka w ogóle. Byłoby tak nawet i wówczas, gdyby nie wchodziły w grę żadne inne dodatkowe okoliczności. Ale w tym wypadku czynniki takie w grę wchodzi. Są nim szeroko rozwinięte sposoby — powiedzmy delikatnie — podpatrywania częściowych osiągnięć technicznych innych narodów, przede wszystkim amerykańskich, jakie Rosja sowiecka tak sprawnie nie od dzisiaj rozwijała. Ile w tym „sputniku” mózgow zachodnich, a ile rosyjskich i w ogóle centralno-europejskich i wschodnich, trudno rozwikłać. Sprawiedliwiej więc powiedzieć, że cała rzecz — istotnie apelująca silnie do wyobraźni — jest dziełem człowieka w ogóle.

W komentarzach sowieckich podkreślano dość silnie, a propaganda wewnętrzna, przeznaczona na Sowiety i kraje przez nie okupowane, jak najusilniej tę myśl rozwijała, że fakt pierwszeństwa w wypuszczeniu pierwszych sztucznych księżyców ma związek z ustrojem, w jakim Rosja sowiecka i podbite przez nią narody żyją. Ze w żadnym innym ustroju nie byłoby możliwe dokonanie takiego wyczynu w tak krótkim czasie. A więc, któryż z ustrojów ma wyższość nad wszystkimi innymi?! Stąd już tylko krok do powiedzenia ludom dławionym przez ustrój komunistyczny: Zycie w najwspanialszym ustroju świata!

Pewien związek tego typu istnieje, ale należy wątpić, czy przynosi on zaszczyt i chwałę komunizmowi. Na tyle, na ile można już dziś o tym sądzić. Sowietom pierwszym udało się wyrzucić w przestrzeń sztuczne księżycy dlatego, iż trybem totalitarnego ustroju przeznaczono na ten cel nieograniczone środki pieniężne i nieograniczone środki w postaci pracy ludzkiej. I jedna wartość i druga musi być z czegoś czerpana. Wiadomo, że w ustrojach komunistycznych jest czerpana z okrawiania codziennych potrzeb mas ludzkich. „Sputnik” sowiecki jest, są nawet dwa, a może leci rakietą z atomową głowicą na księżyc, ale w tym samym

czasie miliony ludzi w Rosji sowieckiej i w krajach przez nią kontrolowanych jest głodnych, obdartych, wycieńczonych z pracowania.

Ale i to jeszcze nie jest najważniejszą stroną rejuwaku, podniesionego przez propagandę sowiecką wokół rodzimych „sputników”. Woła ona: To my pierwsi, to nasz ustrój zbudował i uruchomił sztuczny księżyc! Powiedzmy. Ale co z tego? Spróbujmy przyznać otwarcie: czy ludzkość, czy człowiek — coś naprawdę by stracił, gdyby sztuczny księżyc zaczął krążyć wokół ziemi nie w roku 1957, lecz na przykład w roku 1987? Jakie dobro społeczne zostało uzyskane z tego pośpiechu? Jakie ukojenie duchowe jakie zalecenie otwartych ran współczesnych daje ta nowa sztuczna błyskotka migająca co kilka godzin na horyzoncie? Oczywiście, nauka, wiedza, postęp w badaniach. To jest sprawa jasna. Tylko, czy i w nauce i w badaniach nie musi być także w jakiś sposób uwzględniana hierarchia potrzeb? Jeszcze jest wiele spraw tu, na ziemi, które wymagają zbadania, wyprostowania i uleczenia. Czyżby więc nie było lepiej ze „sputnikiem” poczekać jeszcze? A co najważniejsze, nie przechwalać się nim tak bezmyślnie.

Bezmyślnie w formie, ale bardzo świadomie w treści. Rosja sowiecka wypuściła te swoje maszyny w czasie obchodów 40-lecia istnienia państwa sowieckiego i komunizmu w praktyce ustrojowej. Te czterdzieści lat — to fiasko, jedna z największych kompromitacji w dziejach. Teraz dopiero wychodzi na jaw bezsilność tego systemu jako koncepcji sprawczej. Ostatnie pięć lat nie pozostawiają co do tego najmniejszej wątpliwości, nawet dla samych komunistów. W takim czasie wielkich rozrachunków wjeżdża na niebo wspaniały „sputnik”. Swoją błyskotliwością ma zakryć gęste cienie zgromadzone wokół ustroju proletariatu światowego. Ma czegoś dowodzić, przekonywać, zakłamywać — jak to czyniono na inne, lecz zawsze niespodziewane sposoby w ciągu tych lat czterdziestu. Nie ulega wątpliwości, że ten sztuczny satelita w jakiś sposób przyniesie korzyść nauce, nie ulega wątpliwości, że w ciągu tych czterdziestu lat i w Sowietach powstały jakieś ogólnie użyteczne pomysły i wynalazki, tylko, że to w niczym nie wpływa na ocenę samego komunizmu, jako komunizmu, systemu zbrodni, pomyłki i błędu.

Przykładów jest w bród, na każde sięgnięcie ręki. Choćby tenże sam „sputnik”. Jaka będzie pierwsza konsekwencja wypuszczenia go — chociaż gardlują się tak donośnie — o rezultatach w zakresie nauki i dobrodziejstw dla człowieka? Niestety, tą pierwszą konsekwencją będzie — już jest — opętany wyścig zbrojeni. Jeszcze większy haracz podatków, jeszcze większa niepewność jutra, jeszcze większa nerwowość.

Albowiem, jeśli się ma sprawdzać użyteczność nauki i postępu technicznego, to sprawdzać je trzeba i mierzyć należy tylko i wyłącznie według istotnej miary potrzeb człowieka, jako godnego najwyższej troski i uwagi stworzenia Bożego, którego cierpień zwiększać w żadnym razie nie wolno dla oszalałego wyścigu doksiężycowych „sputników”. J. K.

Balinski-Jundziłł podzielił się z zebranymi swymi wrażeniami ze świeżo zakończonych II Międzynarodowego Kongresu Apostolstwa Świeckich w Rzymie, z którego właśnie powrócił. W sposób bardzo interesujący prelegent ukazał na tle sytuacji świata współczesnego rolę Kościoła oraz zadania, stojące dziś przed świeckimi, jako uczestnikami w apostolskiej działalności Kościoła. Kongres rzucił nowe światło na rolę katolicyzmu w życiu międzynarodowym. Na koniec prelegent omówił rolę Polski i Polaków na tym ważnym zjeździe świeckich katolików z całego świata, a po referacie obszernie odpowiadał na liczne pytania, stawiane mu przez obecnych.

Po zebraniu odbyła się wieczornica; na jej program złożyły się występy nielicznego, ale doskonale zaśpiewanego zespołu „Harfa” pod batutą p. Nowakowskiego oraz piękna recytacja udrumatyzowanej noweli K. Tetmajera pt. „Książę Piotr”, wykonana przez p. Lińskiego.

W niedzielę 20 października rano uczestnicy zjazdu zebrali się w tej samej sali, gdzie co niedzielę odbywają się nabożeństwa polskie dla dzieci. Dom parafialny w Leeds posiada kilka obszernych sal szkolnych, które co sobotę rozbrzmiewają głosami licznie tam gromadzącej się dżiatwy. Mszę św. odprawił i piękne kazanie o wierności Bogu, Ewangelii, Krzyżowi oraz Kościołowi i jego pastorzom wygłosił ks. mgr K. Krzyżanowski. Wielu z delegatów przystąpiło do Stołu Pańskiego.

W południe Mszę św. dla Polaków z Leeds odprawił ks. infułat B. Michalski. W swym kazaniu podczas Mszy św. uwypuklił Ks. Infułat odpowiedzialność świeckich katolików w życiu współczesnym oraz wezwał wszystkich obecnych do przyłączenia się do wielkiej nowenny naszego narodu, realizującej przyrzeczenia jasnogórskie. Będzie to najlepszym przygotowaniem do święcenia tysiąclecia Chrztu Polski.

Obrady zjazdu, wznowione po wspólnym obiedzie w domu parafialnym, zgromadziły licznych uczestników. Zaczęto je odmówieniem modlitwy apostołów świeckich ułożonej przez obecnego Papieża. Dwa referaty programowe: „Nowenna narodu polskiego i nasze zadania” oraz „Rola apostołów świeckich w realizacji przyrzeczeń jasnogórskich” — wygłosili inż. T. Ziarski z Edynburga i A. J. Onyszkiewicz z Londynu. Po obu referatach toczyła się długa dyskusja. Wzięli w niej też udział ci polscy duszpasterze, którym obowiązki niedzielne nie pozwoliły przybyć na zjazd wcześniej niż w niedzielę po południu.

Referaty i dyskusja dały wiele informacji i praktycznego materiału wszystkim uczestnikom zjazdu, toteż wyrażali się z uznaniem o korzyściach, jakie osobście i dla swej pracy społecznej z niego wynoszą.

Zjazd uchwalił przez akklamację wysłanie depeusz ze słowami hojdu do J. Em. ks. kardynała Prymasa, J. E. ks. arcybiskupa — Opiekuna oraz do Księża Rektorów Polskich Misyj Katolickich w Londynie i Edynburgu.

Na zakończenie zjazd powziął jednomyślną uchwałę tej treści:

„Zebrani wyrażają zaniepokojenie stopniowym wzrostem akcentów gorszących i antykatolickich w części prasy polskiej na emigracji. Zebrani wyrażają nadzieję, że wydawcy i publicyści nadadzą swym wydawnictwom ton odpowiadający wymaganiom polskich czytelników na uchodźstwie.”

Rozjeżdżający się uczestnicy zjazdu dziękowali jego organizatorom za sprawną organizację, a wszystkim gospodarzom z Leeds za ujmującą gościnność. J.



Marszałek Malinowski, pomimo polskiego nazwiska, ma wygląd typowo sowiecki w każdym szczególe twarzy, szabl i postaci. Marszałek Żukow podobno z trudem poddał się obrzędowi „pokajania”, kto wie? — może nowy marsowy dowódca nie podda mu się wcale, gdyby i na to kiedyś przyszedł czas?..

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ZYCIE KRAJU

Partia nie pozwoli...
Niegodne insynuacje
Pielgrzymka prawników do Częstochowy

ZYCIE KATOLICKIE

Dni chorych w Rzymie — W. Jelonek
„Osservatore Romano”

NAUKA I TECHNIKA

Przyszłość żeglugi pod wodą — T. Felsztyn
Nowy turniej atomowy

ZYCIE MIĘDZYNARODOWE

Nowy rząd kancлера Adenauera — St. Czechanowski
Moskwa-Waszyngton-Londyn
Europa się niecierpliwi
Za kulisami przewrotu w Syjamie

Str. 2 i 3 — Listy do Redakcji — Kronika

Str. 4 — Punkty widzenia — J. K.

Str. 10 — Jesienny po dwakroć las — Bogdan Niemczyk

Str. 11 — Nasze sprawy — Polonus

Str. 12 — 40 lat temu w Piotrogradzie — T. T.

Str. 16 — Ludzie i zdarzenia

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XI — NR 46 (543) LONDYN, NIEDZIELA, 17 LISTOPADA 1957

ŻYCIE KRAJU

PARTIA NIE POZWOLI

Niedawno, bo 22 lipca br. prof. Kotarbiński, obecny Prezes założonej przez komunistów Polskiej Akademii Nauk, pisał w „Trybunie Ludu” o „odgórnym” kierowaniu nauką w Polsce w tzw. okresie stalinowskim, podkreślając z naciskiem, że było ono oparte na założeniach „jawnie pomyślonych”. Surowa krytyka tych metod i założeń — pozwałała — zdawałoby się na nadzieję, że nie będą one już więcej praktykowane, chyba że w drodze nowego gwałtu nad swobodnym rozwojem polskiej nauki i kultury. Upięknienie zaledwie trzy miesiące od tego czasu, a oto w teje samej „Trybunie Ludu”, w dniu 17 października, a więc na tydzień przed X Plenum, zabrał głos prof. Adam Schaff w artykule pt. „Wolność nauki a polityka kulturalna”. W sposób nie nasuwający żadnych wątpliwości przedstawił on nową politykę Centralnego Komitetu w stosunku do polskich naukowców i pisarzy, którzy — szczególnie w okresie ostatnich dwunastu miesięcy — usiłowali dowieść, że twórczość w dziedzinie nauki i kultury nie może być krępowana nakazami z góry.

Co było naszym największym osiągnięciem okresu października w dziedzinie polityki kulturalnej? — pyta na wstępie prof. Schaff — i zaraz sam na to odpowiada: że było to niewątpliwie odrzucenie fałszywego pojmowania kierowniczej roli partii w dziedzinie nauki i kultury i ukształtowanie nowej koncepcji tej roli. Partia określiła jednak swoją politykę wyraźnie. Dopuszcza w dziedzinie twórczości duchowej rozmaite kierunki, lecz pod warunkiem, że nie są one antynaukowe i antysocjalistyczne.

Partia — pisze dalej p. Schaff — musi otwartą wypowiedzieć walkę obcej ideologii i wygrać tę walkę w drodze stosowania właściwej polityki kulturalnej, w drodze rzeczywistego kierownictwa partyjnego w dziedzinie nauki i twórczości artystycznej. (Innymi słowy — partia chce znowu kierować całą wiedzą nauką i sztuką, a obcą dla niej ideologią będzie oczywiście każdy pogląd niezgodny z założeniami marksizmu.)

P. Schaff robi jednak w swym artykule pewne próby przekonania czytelników, że mimo wszystko swoboda przekonania istnieje i ma być zachowana. Powiada więc, że partia stoi na stanowisku wolności dyskusji naukowych i artystycznych, ale zaraz potem dowodzi, że wolność jest możliwa tylko jako wyraz o k r e ś l o n e j polityki kulturalnej, ponieważ w obecnej sytuacji odrzucenie partyjnej polityki kulturalnej oznacza automatycznie otwarcie drogi dla kulturalnej reakcji. Lecz — zdaniem p. Schaffa — ingerencja partii i państwa w te dziedziny nie ogranicza np. wcale wolności badań naukowych.

Zżyma się — ubolewa p. Schaff — nasza inteligencja na sam dźwięk słów „polityka kulturalna” i nie można nawet i bardzo się temu dziwić, bo ludzie traktują to jako dążenie do zdławienia życia intelektualnego, mówią „Nie mieszajcie się wcale do tych spraw! Pozostawcie to nam samym — uczonym i twórcom, bo wszelka ingerencja w sprawy nauki i sztuki jest naruszeniem wolnej twórczości duchowej”.

Jest to, według udającego pierwszą naiwną, prof. Schaffa — stanowisko z gruntu fałszywe. Pyta on z patosem: „W czym wolność naukową jakiegokolwiek uczonego ograniczyć może fakt, że partia i pentwo zajmują się i kierują rozważaniem różnych problemów?” I odpowiada sobie natychmiast, że absolutnie w niczym, chyba że... chodzi o rzecz inną, że się komuś nie podoba dana polityka kulturalna, a chciałby widzieć realizację innej. „Mamy do czynienia wtedy — stwierdza autor — nie z uczonym broniącym nauki, lecz z politykiem walczącym o inną orientację polityczną”. Zdawałoby się, że dalej już posunąć się nie można, lecz p. Schaff jest pedantem i lubi stawiać kropkę nad „i”. Dodaje więc bez ceremonii, że byłoby to w odróżnieniu od polityki partii — r e a k - c y j n a polityka kulturalna.

Po tych słowach p. Schaff przechodzi do zapowiedzi, że trzeba sobie to jasno i wyraźnie uświadomić, iż p a r t i a n i e p o z w o l i, aby pod płaszczykiem rzeczowej walki o wolność twórczości duchowej pozwalano sobie na zakamuflowaną walkę przeciw polityce socjalizmu. Partia prowadzi i w przyszłości „będzie prowadzić w sposób bardziej zdecydowany zupełnie określoną politykę kulturalną — politykę państwa socjalistycznego — politykę, która sprzyja jego celom ustrojowym i ideologicznym”.

P. Schaff przechodzi następnie do techniki prowadzenia przez partię polityki kulturalnej i przypomina, że główny zarzut, jaki podnoszono i podnosi się ze strony naukowców i społeczności tworzącej kulturę był ten, że losy nauki i kultury oddaje się w ręce aparatu urzędniczego. Zamierza się przeto stworzyć takie formy, które zapewnią niezbędną wpływ kadry naukowców-marksistów na kształtowanie się kulturalnej polityki partii.

Nad należytnym prowadzeniem tej polityki ma pilnie czuwać istniejąca przy Komitecie Centralnym i czynna już Komisja Nauki i Oświaty; rozpoczęła też już działanie Komisja Kultury i Sztuki. Komisje te działają jako ciała doradcze Komitetu Centralnego, ale w pewnym sensie mogą też one podejmować decyzje, tak że niebezpieczeństwo zburzenia

tyzowania zostaje skutecznie zazegnane. Trzeci zjazd partii ustalił ostateczny status tych komisji i sprawa partyjnej polityki kulturalnej będzie ostatecznie postawiona na właściwej płaszczyźnie — cieszy się prof. Schaff. Kończy zaś swe wywody ponownym, bardzo silnym podkreśleniem potrzeby ingerencji partii w dziedzinę nauki i sztuki. Partia nie pozwoli — powtarza autorytatywni p. Schaff — by działalność ta była wykorzystana przeciw celom i zadaniom państwa socjalistycznego.

Ale nie dość na tym. Są jeszcze mocniejsze słowa i groźniejsze zapowiedzi. Powiada więc p. Schaff, że partia sama jest uprawniona do sformułowania zasady wolności nauki i twórczości artystycznej i że wyraźnie sformułuje zasadę dominacji socjalistycznej polityki kulturalnej. Partia — jeśli chodzi o wolność twórczości czy słowa — nigdy nie głosiła hasła integralnej demokracji i nigdy nie obiecywała integralnej wolności. Wręcz przeciwnie — kończy przedstawiciel kulturalnej polityki partii — „stwierdziliśmy poprzednio i stwierdzamy to i obecnie, że nie pozwolimy na działalność polityczną osłabiającą nasz ustrój”.

Jak wiadomo, artykułu tego nie skonfiskowano, a „Trybuna Ludu” też z jego racji nie zamknęto, jak to się stało np. z kontrowersyjnym tygodnikiem „Po prostu”. Wynikałoby z tego, że prof. Schaff wiedział co mówi i że nie z własnego tylko wypowiedział się natchnienia. Czyżby istotnie listopad 1957 roku stał się początkiem (jeśli już nie dalszym ciągiem) odwrótu od ustępstw i wolności zdobytych na odcinku nauki i sztuki w październiku 1956 roku? A. Z.

NIEGODNE INSINUACJE

Kilka tygodni temu tzw. „Stronnicwo Demokratyczne” zaczęło wydawać w Kraju pismo codzienne pod nazwą „Kurier Polski”. To małe ugrupowanie pomagające od lat trzynastu stwarzać w Polsce pozory, iż komunistyczny „Front Narodowy”, składa się trzech stronnicw, a nie z jednego — obchodziło niedawno 20-lecie swego istnienia. Nikt prawdopodobnie nie zwróciłby na to uwagi, tak nikła i niezaszczytna jest rola tego „stronnicwa”, gdyby nie ten właśnie fakt przyznania mu pozwolenia na wydawanie dziennika.

Jak wiadomo, „Stronnicwo Demokratyczne” nie posiadało nigdy dółów partyjnych, czyli że nie reprezentowało w rzeczywistości żadnego ugrupowania społecznego. Wprawdzie przywódca jego usiłował wmawiać z początku w społeczeństwo, że to oni reprezentują intelektualistów, ale nikt temu nie dawał wiary; na próżno też — od czasu dopuszczenia ich do rządu — udawali, że bronią w nim interesów klasy średniej, a w szczególności prywatnego handlu i rzemiosła. Rzeczywistość świadczyła o tym, że i handel prywatny i rzemiosło już w roku 1949 przestały w Polsce istnieć. Pozwolono im na wydawanie tygodnika („Tygodnik Demokratyczny”), dla zachowania jakich takich pozorów aktywności, poważniej nikt się jednak z tą aktywnością nie liczył. Koncesja udzielona tym fikcyjnym politykom i działaczom na założenie gazety codziennej ma tedy specjalną wymowę. Wygląda na to, że podjęli się oni roli, która ma większą wagę dla obecnych rządców w Polsce. I nawet ukazało się już szydło z worka.

W dniu 5 października PAP doniosła, że „Kurier Polski” omawiał treść kazania wygłoszonego przez ks. Ziębę w katedrze war-

szawskiej, w czasie nabożeństwa żałobnego za dusze obrońców Warszawy, poległych we wrześniu 1939 roku i ku uczczeniu pamięci ówczesnego bohatera jej prezydenta ś. p. Stefana Starzyńskiego. Nabożeństwo odprawił kardynał Wyszyński, tłumy zaległy kościoł. Kazanie ks. Ziębi było podobno bardzo piękne. Nie mamy całej jego treści, wiemy jednakże, że było ono też bardzo wzruszające, kaznodzieja poruszył do głębi tłumy mówiąc o zapale, z jakim Warszawa była bronią. A gdy podniesione zostało i gorącym słowem uczczone bohaterstwo obrońców Warszawy, kaznodzieja — jak to bywa zazwyczaj — przeszedł do końcowych koluzji, że lud polski ma bohaterstwo i wierność w naturze. Że wierny jest Bogu i ojczyźnie i tak to się u niego wiąże i zespała, iż utrwaliło się na świecie zdanie, że Polak i katolik, to jedno.

Taki w skrócie był sens i tok kazania ks. Ziębi i tak to kazanie ludzie zrozumieli. Nie wszyscy jednak. Jako że znaleźli się tacy, którzy uznali, że warto je zrozumieć inaczej. Zajął się tym nowy „Kurier Polski”. Nikomu by do głowy nie przyszło, że jest to możliwe, a jednak „Kurier Polski” znalazł w tym kazaniu próbę odebrania chwały za wrześniową obronę Warszawy tym, którzy nie są katolikami. — W ten sposób — pisze ta gazeta — koło obrońców Warszawy sprowadzono do jednej tylko grupy wyznającej jedno specyficzne wyznanie, religię i naród złączono w jedno, przyznając tym jednej tylko wyznawczej organizacji monopol wzorowego wykonania obowiązków wobec państwa. Dalej następuje protest w imieniu rzekomo tym kazaniem pokrzywdzonych i w obronie tolerancji.

Robota — jak widzimy — grubym jest szyta niemi i rola nowego dziennika wylania się z niej wyraźnie. Ks. Zięba uśmiecha się pewnie pobłażliwie i skwituje artykuł „Kuriera Polskiego” odmówieniem jeszcze jednego pacierza za tych, którzy zesłali z drogi prawdy i cnót chrześcijańskich.

Cel wystąpienia wydaje się jasny i mieści się niewątpliwie w ramach akcji ateistów przeciw Kościołowi w Polsce. Wobec układu zawartego z Kościołem, nie wypada bowiem żadnemu pismu rządowemu podejmować tego rodzaju wystąpienia. Więc, mimo że kraj jest w biedzie, pomimo kryzysu gospodarczego — znalazły się pieniądze dla nowego „demokratycznego” dziennika. Dostał on podobno bogaty przydział papieru i ma za-

pewnione fundusze nawet w wypadku bardzo nielicznej grupy prenumeratorów.

PIELGRZYMKA PRAWNIKÓW POLSKICH DO CZĘSTOCHOWY

Po pielgrzymkach wszystkich stanów i zawodów, które przeżyła cała ubiegły i bieżący ciągły na Jasną Górę do stóp Królowej Polski, przyszedł obecnie czas na pielgrzymkę wspólną prawników polskich, zawodu jakże ważnego, szczególnie w czasach takich jak nasze, kiedy ze wszystkich stron odzywają się wołania o sprawiedliwość i poszanowanie godności człowieka.

Wielka pielgrzymka prawników polskich na Jasną Górę odbyła się w dniu 3 listopada. Protektorat nad nią objął Ks. Prymas Stefan Wyszyński. W programie uroczystości prawnicy wysłuchali kazania Ks. Prymasa i odczytów, połączonych z dyskusją na następujące tematy: „Prawo i moralność”; „Etyka i moralność prawników-katolików w dzisiejszej rzeczywistości”; „Zagadnienie rodziny w walce z demoralizacją młodzieży”.

O KOSZULI NYLONOWEJ, CO SPADŁA Z NIEBA

W piśmie „Zielony Sztandar” ukazał się w nrze 80/57 list do redakcji, opisujący dość zabawną historię o nylonowym balonie woj-skowym, który „urwał się jak byczek z łańcucha w czasie ćwiczeń lotniczych w Mielcu i pognął w świat”. Na ten widok mieszkańcy wsi Izdebną, gdzie balon lądował, otoczyli natychmiast powietrznego posłańca i... rozdzielili go między siebie. „Bez rozdzielników, w ramach wolnej konkurencji — pisze pismo — urznął każdy po kawałku i już po balonie”.

Większość pism krajowych rozpatrując to zdarzenie — potępiło wieś Izdebną. „Zielony Sztandar” podkreśla jednak raczej zabawną stronę tej historii, dostało się też przy tej okazji i ulotkom „Wolnej Europy”.

...Trochę nie bardzo wyszło. To prawda. Ale czy trzeba zaraz ludzi za to brzydko wyzywać? Przecież pamiętamy, jak baloniki „Wolnej Europy” spadały na pola, to ludziska zaopatrzili się nieźle w nylonowe obrusy i koszule. Milicja też bardziej, niż za ulotkami, gonila za balonikami. A co, chłop nie ma już prawa paradować w jedwabnej, czy nylonowej koszuli, zwłaszcza, gdy mu z nieba spadnie?”

BIBLIOTEKA POLSKA

ogłasza subskrypcję na listopad:

PRACY ZBIOROWEJ

Osiągnięcia nowoczesnej medycyny

Cena w subskrypcji: szyl. 10/-; dol. 1.50.
Zamówienia:

do VERITAS FOUNDATION

PUBLICATION CENTRE

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

ŻYCIE KATOLICKIE

DNI CHORYCH W RZYMIE

Ponieważ Bóg jest Panem historii, przeto najważniejszymi czynnikami tworzącymi dzieje ludzkości są: ze strony Boga łaska, ze strony ludzi modlitwa i cierpienie.

Dzięki niedocenionemu przywilejowi każdy człowiek może stać się, obok Matki Najświętszej, która jest Współodkupicielką rodzaju ludzkiego, również współodkupicielem i przez swoje cierpienie „dopełniać na ciele własnym tego, czego niedostaje cierpieniem Chrystusowym” (por. Kol. 1, 24). Aczkolwiek Chrystus Pan ponad miarę zadosyćczylił sprawiedliwości Bożej, to jednak zechciał, byśmy Mu w tym dopomogli przez nasze cierpienie. Dlatego od początków dziejów Kościoła wierni — za przykładem św. Pawła — dopełniali przez swe cierpienia tego, czego niedostaje cierpieniem Chrystusowym. W naszym wieku wyraziło się to dążenie wiernych między innymi w zakładaniu specjalnych stowarzyszeń, a nawet Instytutów święckich.

W Polsce przed drugą wojną światową zostało założone przez ks. Rekęsa Apostolstwo Chorych, które troszczyło się o to, by chorzy swe cierpienia łączyły z cierpieniami Chrystusowymi i w ten sposób dołączali je do skarba duchowych zasług, jaki gromadzi Kościół katolicki i z którego czerpie dla dobra swych wiernych.

We Włoszech pracujący w sekretariacie stanu Jego Świątobliwości ks. Luigi Novarese założył w roku 1947 Centrum Ochotników Cierpienia (Centro Volontari della Sofferenza), które obecnie liczy w samych Włoszech 35.000 członków. Założyciel i asystent Centrum w swym dziełku wydanym dla chorych napisał: „Twoje życie nie jest bezużyteczne. Twoje życie cierpienia jest równe życiu pracy. Jesteś pracownikiem chrześcijańskiej społeczności.” Centrum rozwija swą działalność przez zebrania, prasę, radio, ćwiczenia duchowne, apostolstwo prowadzone przez chorych księży, wśród nich ślepego biskupa Giuseppe Della Cioppa, który był biskupem Alife (południowe Włochy), obecnie jest biskupem tytularnym Cesarea di Numidia (liczy lat 71). Centrum zbudowało w Ariano Irpino (Avelino) i Re (Novara) domy z pracowniami dla ozdrowieńców, którzy nie mogą pracować w normalnych warunkach. W budowie na rok 1958 jest drugi dom w Re na 320 łóżek. Ostatnio Ojciec św. Pius XII ułożył akt poświęcenia się chorych Matce Boskiej Bolesnej, z odpustem dla chorych 1.000 dni.

Ofiarowanie cierpień. 6 i 7 października 1957 roku 5.000 chorych należących do Centrum, obchodzącego w tym roku dziesięciolecie swego istnienia, przeżyło dwa niezapomniane dni w bazylice św. Piotra na Watykanie, na placu św. Piotra i na podwórzu pałaców watykańskich Cortile del Belvedere.

Bazylikę wypełniły nosze i wózki z chorymi. Mszę św. odprawił mons. Principi, a mons. Novarese przewodniczył chorem w odpowiedziach celebransowi. W pobliżu ołtarza umieszczono czterech chorych, którzy imieniem wszystkich mieli złożyć Bogu cierpienia w ofierze, w związku z Ofiarowaniem hostii i kielicha.

Na Ofiarowanie kapłan celebrujący Mszę św. zwraca się do nich. Czterech ludzi niosących lektkę z młodą dziewczyną wstępującą na stopnie ołtarza i staje blisko celebransa.

Wzruszone dziewczę wyraźnie wypowiada słowa Ofiarowania. Swoje cierpienie płynące z niemożności chodzenia na zawsze, ofiaruje Jezusowi jako wynagrodzenie za tyle grzechów ludzkich obrażających Serca Jezusa i Maryi, ofiaruje w myśl życzeń Matki Boskiej wypowiedzianych w Lourdes i Fatimie. Wnoszą następnego chorego, który przykuty do łoża boleści ofiaruje swe cierpienia jako prośbę o przebaczenie grzechów świata. Następny — ślepy od 25 lat — swoją ślepotę składa w ofierze za nawrócenie grzeszników. Ostatni — ksiądz — głosem wyraźnym, choć przerywanym przez wzruszenie, ofiaruje swe cierpienia za Papieża i za swych konfratrów.

W czasie tego ofiarowania nikt chyba w bazylice nie jest niewzruszony, wielu wzruszonych jest zapewne aż do łez, a chwila ta utrwała się niezawodnie raz na zawsze w pamięci.

Niedługo, a nowe wzruszenie staje się udziałem wszystkich. Z kaplicy Najświętszego Sakramentu kroczy dwóch biskupów i sześciu księży otoczonych przez kleryków z zapalonymi świecami. Chorzy śpiewają pieśń wyrażającą adorację Pana nad Paną, który przychodzi do swych chorych, by ich nawiedzić i oddać się im w Sakramencie Miłości.

Po Mszy św. Drodze Krzyża, tak w tych chwilach wymownej, przewodniczy kardynał Alfredo Ottaviani.

Po południu na placu św. Piotra odbywa się procesja. Kardynał Giuseppe Pizzardo idzie od jednych nosz do drugich, od jednego wózka do drugiego i błogosławi chorych Najświętszym Sakramentem w złotej monstrancji. Na tym placu po raz pierwszy zostaje odmówiona modlitwa ułożona przez Ojca św., jako akt poświęcenia chorych Matce Boskiej Bolesnej.

Audiencja u Ojca Chrześcijaństwa. Naza-jutrz Cortile del Belvedere w pałacach watykańskich ożywia się. Wypełniają go nosze i wózki chorych, których przyniesiono tu lub przywieziono na spotkanie Ojca z dziećmi. Papież wygłasza długie przemówienie, którego słuchają chorzy zebrani na podwórzu, ale także i po całym świecie, dokąd na falach radiowych niesie się głos Piusa XII.

Wyraziwszy smutek, że nie może, jakby tego pragnął, wysłuchać każdego chorego z osobna, otrząć izer, rozpogodzić ducha, Papież wypowiedział radość, że jednak może dzięki radiu wejść do każdego domu, przejść po szpitalach, zatrzymać się przy każdym łożu.

Po tym wstępie Papież wykazał, czym są chorzy w oczach świata, a czym w oczach Chrystusa. W oczach świata chorzy są przede wszystkim sami. Nie ma ich na łonie natury. Świat sztuki jest z dala od nich. Nie ma ich w świecie pracy. Są sami w swych izbach, unieruchomieni na łóżkach, ręce nieczynne, a umysł niezdolny do pracy długiej i poważnej. W oczach świata chorzy są nieużyteczni. Odczucie tego zwiększa cierpienia chorego, który czuje, że nie przydaje się na nic i drugim przeszkadza w pracy i twórczości.

Rzeczywistość jest jednak naprawdę zgoła inna.

Chorzy nie są sami. W nich może być obecny Jezus żywy i działający. W każdej duszy, która przestrzega Jego woli, czyni On Sobie mieszkanie. Od chorych nie żąda się działania, od nich żąda się wewnętrznej zgody na cierpienie; w tej zgodzie na cierpienie jest dopełnienie przez nich woli Bożej — i wówczas Jezus jest z nimi, jest w nich. Jezus jest przy nich, nawet wtedy, gdy są pozostawieni całkowicie sami, nawet gdy w nocy spać nie mogą i obawiają się zakłócić spoczynek innych.

Chorzy nie są bezużyteczni. Obok materii jest świat ducha. W ciałach ludzi są ich dusze, które przez swe umiłowanie Boga stają się uczestnikami życia Bożego. Któż zdołałby opisać tajemnicze związki między duszami? Któż zgłębi pełnię niewypowiedzianego misterium Świętych Obcowania? Ich znoszenie cierpienia jest przykładem i apostołstwem. Kto ich odwiedza, widzi ich starania poddania się woli Bożej, a jeśli ból wyćnisie im izer, to stają się one rosą, która pada na pustynię świata i sprawia, że ona zakwita. A cóż jeszcze powiedzieć o ich cierpieniu? Jezus przyszedł na świat, by odkupić ludzi, to znaczy dać im życie w obfitości, chciał, ażeby to stało się przez Jego Mękę. Ale Jego Męka, a więc Odkupienie powinno być „uzupełnione” przez cierpienie chorych. Nie są więc chorzy bezużyteczni. Przez swój ból nadprzyrodzony mogą zachować tyle niewinnych osób w ich cnocie, nawrócić tylu zbłąkanych, oświecić tylu wątpiących, przywrócić pokój tylu strapionym. Kapłani nie-rzad zadziwią się, jak wielu rzeczy dokonali przez swe posługiwanie: w niebie zobaczą, komu zawdzięczają nieoczekiwana skuteczność swych słów. Chorzy nie są więc nieużyteczni. Gdy chorzy proszą, czynią jakby gwałt niebu, zmuszają, by tak powiedzieć, Serce Jezusowe do wysłuchania ich prośb. I spływają łaski na świat: wraca światło, wraca miłość, na nowo odradza się życie.

Dr Władysław Jelonek

»OSSERVATORE ROMANO«

Niedziela 13 października: odpust 1.000 dni przyznany chorym za odmawianie aktu poświęcenia się Matce Boskiej Bolesnej, ułożonego przez Papieża (patrz pod datą 11 października w poprzednim numerze).

Poniedziałek - wtorek 14 - 15 października: przemówienie Papieża (w języku włoskim) do włoskich poetów piszących w narzeczach; artykuł w sprawie nowego centrum nadawczego Radiostacji Watykańskiej w Santa Maria di Galeria.

Sroda 16 października: zebranie antepreparatoria św. Kongregacji Rytów w sprawie heroicznego cnót Sługi Bożego Jakuba Dezzydherata Laval'a, kapłana misjonarza ze zgromadzenia Ducha Świętego.

Czwartek 17 października: artykuł o „Piusie XII i apostolstwie kobiety”; rezolucje II Światowego Kongresu Apostolstwa Święckich; artykuł o Świętych Obcowaniu.

Sobota 19 października: przemówienie Papieża (w języku hiszpańskim) do członków Instytutu Katechistek; artykuł o działalności Ojca św. dla społeczności międzynarodowej.

Niedziela 20 października: przemówienie Papieża (w języku hiszpańskim) do pielgrzymki z Korduby w 1.600 rocznicę śmierci biskupa tej hiszpańskiej diecezji, Hozjusza.

Poniedziałek - wtorek 21 - 22 października: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do uczestników Międzynarodowego Kongresu Dróg Betonowych; artykuł „Potomontaż propagandowy” o propagandowej książeczce czechosłowackiej.

Sroda 23 października: przemówienie radicy Papieża (w języku hiszpańskim) w 50-lecie arcybactwa „Piątków Eucharystycznych” w Hiszpanii.

NAUKA I TECHNIKA

PRZYSZŁOŚĆ ŻEGLUGI POD WODĄ

Pierwszy podwodny okręt atomowy „Nautilus”, opuszczony na wodę w dniu 17 stycznia 1955 roku, wylądował z morza w Portland, w Anglii, w dniu 30 września tego roku, aby wziąć udział w manewrach NATO.

Do tego czasu odbył on już 90.000 mil, a więc drogę równą trzy i półkrotnemu opasaniu ziemi dookoła równika. Większość tej przestrzeni przepłynął pod wodą, przeważnie z maksymalną szybkością, która oczywiście pozostaje nadal tajemniczą wojskową.

Na dwie trzecie tej drogi, tj. na 60.000 mil, „Nautilus” zużył wszystkiego osiem funtów wzbogaconego uranu. Aby wykonać tę samą pracę, okręt atomowy o tejże wyporności musiałby zużyć trzy miliony galonów paliwa ciekłego. Wymiana zużytego paliwa, dokonana oczywiście w odpowiednim pomieszczeniu przy pomocy dalekierowania, aby zabezpieczyć się przed promieniowaniem, odbyła się zupełnie gładko. Zresztą zużyte paliwo nie jest bynajmniej nieużytecznym popiołem, zawiera ono bowiem część nieużytego jeszcze całkowicie uranu 235, który jednak jest już zbyt mało sprężysty, aby zapewnić działanie stosu, a ponadto posiada pewien procent plutonu, powstałego z uranu zwykłego podczas procesu przemiany atomowej wewnątrz stosu.

Jak opowiadali marynarze, życie w tym okręcie podwodnym było zupełnie wygodne, a natężenie promieniotwórczości dużo mniejsze, niż w normalnych warunkach na ziemi, gdzie promieniotwórczości gruntu i promienie kosmiczne z nieba nieustannie bombardują człowieka.

Powodzenie pierwszego podwodnego okrętu atomowego spowodowało, że ma on już dzisiaj licznych następców. Obok opuszczonych na wodę w 1956 roku „See Wolf”, o wyporności mniej więcej równej „Nautilusowi”, oraz nieco mniejszych „Porpoise” i „Rorqual”, o wyporności 2.000 ton, w dniu 25 października tego roku Amerykanie opuścili na wodę trzeci z kolei okręt podwodny tejże klasy „Narwhal”.

Anglicy zapowiadają rychłe ukończenie budowy swego pierwszego atomowego okrętu podwodnego „Dreadnoughta”. Również i

Francuzi mają już podwodny okręt atomowy w budowie. O pracach rosyjskich niczego się nie wie, choć po „Sputniku” należy się obawiać, że wyczynny amerykański nie dają im spokoju. A może tylko wola oni o tym nie mówić, zapowiadając w zamian za to rychłe wykończenie atomowego łamacza lodów, „Lenina”, o wyporności 16.000 ton i szybkości 18 węzłów. Jest on przeznaczony jako przewodnik, rozbijający lody dla statków handlowych i rybackich wzdłuż północnych wybrzeży Syberii. Wedle zapowiedzi sowieckich, zamiast 100 ton paliwa, jakie zużywa dziennie zwykły łamacz lodów, „Lenin” będzie zadowalał się około 150 gramami paliwa atomowego. Jest to niewątpliwie duża oszczędność wagi, choć znacznie mniejsza, niż u „Nautilusa”. Należy więc przypuszczać, że Rosjanie stosować będą uran zwykły, a nie wzbogacony.

Postępuje również i budowa statków atomowych. Amerykański statek atomowy będzie gotów w 1960 roku. Jego paliwo wystarczy na odbycie bez zmian drogi 350.000 mil, przy szybkości 21 węzłów. Będzie on mógł przewozić stu pasażerów i 10.000 ton ładunku. Angielski statek atomowy jest również w budowie. Francja planuje 40.000 tonowy statek atomowy z silnikami o mocy 20.000 koni, a wreszcie Japonia przewiduje na rok 1965 dwa tankiery atomowe, jeden o wyporności 40.000, a drugi 80.000 ton. Ten ostatni, dzięki napędowi atomowemu, będzie miał miejsce na 8.000 ton ładunku więcej, niż tankier tej samej wyporności, opalany paliwem ciekłym. Wszystkie te statki, z wyjątkiem angielskiego, stosować będą uran wzbogacony.

Zaletą napędu atomowego w żegludze jest nie tylko mała przestrzeń, jaką zajmuje silnik, ale głównie możliwość odbywania długich rejsów bez zmiany paliwa. Jest to nie tylko niezależnienie się od portów zaopatrzeniowych (planowany statek amerykański będzie mógł pływać przez trzy lata bez wymiany paliwa), ale i dojsię dzięki temu do możliwości wycieczek, o jakich dawniej marzyli tylko powieściopisarze. I tak np. Nautilus amerykański podobnie jak wynajmiony przez Juliusza Verne „Nautilus” kapitana Nemo, może w razie potrzeby spędzać długie tygodnie pod wodą. Dzięki temu mógł on sobie pozwolić na krok tak śmiały, jak przepłynięcie pod pokrywą lodową bieguna północnego. Jakkolwiek w celach tej wyprawy na pewno miano nie tylko informacje naukowe na oku, faktem jest, że dzięki nim udało się uzyskać bardzo wiele nowych danych o oceanografii i geologii Północnego

Oceanu Lodowatego. I podobnie jak dziś najkrótszą drogą powietrzną między północną Ameryką a Azją i północną Europą jest droga ponad biegunem północnym, to kto wie czy w przyszłości najkrótsza droga morska między tymi dwoma kontynentami nie będzie wiodła pod lodami Arktyki?

Niewątpliwie bowiem podróż podwodna ma duże zalety w porównaniu z żegluga nawodną. Gdyż na niedużej stosunkowo już głębokości morze jest spokojne nawet wtedy, gdy na powierzchni przewalają się potężne, piętrowe fale. Główne przyczyny tyłu katastrof morskich, jak huragany i burze, przestają grozić zatopieniem statkom i okrętom. Nawet góry lodowe na odpowiedniej głębokości nie są już groźne. Poza tym płynąc pod wodą statek musi zużywać energię tylko na pokonanie oporu wody, gdy zaś pruje nawierzchnię wody dość znaczny procent całego oporu zabiera tworzenie się fal czołowych. Odpada również opór zmiennych fal morskich, tak że przy statku odpowiedniej budowy i wyporności pływanie podwodne może się okazać zarówno ekonomiczniejsze, jak i bezpieczniejsze niż nadwodne. A radary p dwodne mogą zapewnić bezpieczeństwo żeglugi dużo większe, niż zmienna widoczność na powierzchni morza.

Pierwszy plan handlowego statku podwodnego już się pojawił. Jest nim japoński projekt takiego statku o wyporności 65.000 ton.

Nie jest to zresztą — ściśle mówiąc — projekt pierwszy. Podwodny statek handlowy pływał już w czasie wojny 1914-1918 roku. Był to statek niemiecki, mający na celu przełamanie blokady angielskiej. Odbył on jednak jeden tylko rejs. Przy rejsie drugim zaginął bez śladu, prawdopodobnie zniszczony przez marynarkę angielską.

Przy obecnej jednak metodzie napędu nawet wynaleziony przez Niemców Schnorkel (wysoki komin, pozwalający na zaczerpywanie powietrza przy zanurzeniu okrętu podwodnego), czy też napęd sterowaną wodą utlenioną, nie mogą zapewnić ani dostatecznej szybkości, ani też ekonomiczności handlowego statku podwodnego.

Zastosowanie napędu atomowego rokuje lepsze nadzieje. Możliwość odbycia całego niemal rejsu pod wodą, dowolna głębokość pływania, zależna tylko od ciśnienia, na jakie obliczony został statek, całkowita niezależność od warunków pogody, a więc i większe bezpieczeństwo oraz regularność rejsów, wszystko to przemawia na korzyść statku podwodnego. Kto więc wie, czy następne po-

kolenie nie będzie patrzyło na nasze obecne statki nawodne w ten sam sposób, jak my patrzymy na żaglowce. I choć może jakiś nowy Conrad-Korzeniowski snuć będzie tęskne żale za minioną bohaterską epoką walki człowieka z morzem, widok okrętu nawodnego w ożywionym porcie handlowym będzie wówczas tak rzadki, jak dziś rzadki jest już widok żaglowca.

T. F.

„TURNIEJ ATOMOWY” W EUROPIE

Ostatnią sensacją jest w Stanach Zjednoczonych książka dr. Henry A. Kissingera z uniwersytetu Harvard pt. „Nuclear Weapons and Foreign Policy”. (Harper and Brothers, New York.) Inicjatywę do jej napisania dała trzy lata temu Council on Foreign Relations, instytucja półurzędowa, będąca jakby odpowiednikiem brytyjskiego Chatham House'a; zainicjowanym do przedyskutowania i przemyślenia tematem były zasadnicze warunki amerykańskiej polityki w epoce atomowej. Grupa, której to dano do przepracowania, pracowała przez półtora roku, zasięgając opinii różnych wybitnych ekspertów, zwłaszcza w zakresie wojskowości i sowietologii. Książka Kissingera jest plonem tych prac, chociaż niektórzy uważają ją przede wszystkim za tezę indywidualną, w której autor poszukuje wyjścia z dylematu, w jakim znalazła się potęga Ameryki na skutek rewolucji technokratycznej.

Niezależnie od tego, czy uważać będziemy tę książkę za płód zbiorowy, czy też ujrzymy w niej głównie dzieło indywidualne, jasne jest, że w obu wypadkach oznacza ona odwrót od wyłączenia doktryny „odstraszenia drogą masywnej odpłaty” (massive retaliation) — doktryny, bazującej ciłości strategii na przygotowaniu nieograniczonej wojny jądrowej, w oczekiwaniu, że dlatego właśnie nie będzie nigdy koniecznością podjęcie takiej wojny.

Próba nowej doktryny strategicznej. Kissinger wskazuje, jak dyplomacja amerykańska balansowała między alternatywami absolutnego pokoju i absolutnego unicestwienia i jak bardzo takie myślenie odpowiadało tradycjom wojennym Ameryki. Stało się ono jednak niewykonalne z chwilą osiągnięcia przez oba czołowe mocarstwa świata parytetu atomowego.

W tej sytuacji, kiedy — zdaniem autora — „polityka siły” stała się złudzeniem, konieczne jest opracowanie nowej doktryny, która by ustaliła jakąś sensowną równowagę między potęgą militarną Stanów Zjednoczonych i ich celami politycznymi. W doktrynie tej — i to jest główna myśl książki — znaleźć się musi miejsce na „wojnę ograniczoną”, prowadzoną dla ograniczonych celów. Nieraz w dyskusjach amerykańskich przeciwstawiano ogólnej wojnie atomowej o charakterze niszcycielskim wojnę ograniczoną; stało się to np. w starciach opinii między wojskiem lądowym a siłą lotniczą. Pod „wojnę ograniczoną” rozumiano jednak zawsze wojnę prowadzoną bronią „konwencjonalnymi”. Oryginalność koncepcji Kissingera polega na tym, że jego „wojna ograniczona” posługiwać się ma także bronią jądrowymi.

Zdaniem Kissingera także te bronie uważać już musimy za „konwencjonalne”, jeśli nie chcemy głowy chować w piasek. Chodzi tylko o to, by w wyniku „masywnej odpłaty” nie doszło do totalnego zniszczenia. Stąd

idea, aby w epokę rewolucyjną pod względem technicznym wnieść nieco z ducha starej Europy — w zakresie opanowania.

Jeśli polityka światowa — wywodzi Kissinger — oparta będzie na milczącym pakcie nieagresji między Ameryką a Rosją i jeśli jedyną inną możliwością polegać będzie na „odpłacie” przez potworny atak atomowy, dyplomacja straci jakkolwiek skuteczność. Niemożność zastosowania siły awiecznia wszystkie sprawy sporne. Oczywiście autor uznaje niezbędność „odstraszającego” uzbrojenia Ameryki, by zapobiec atakowi na jej terytorium. Ale Kissinger atak tak uważa za wysoce nieprawdopodobny i zarzuca oficjalnym strategom, że zaniedbują przygotowań do wydarzeń bardziej prawdopodobnych, mianowicie do wojen ograniczonych.

Reguły gry. Rozwiązaniem jest więc dla Kissingera wojna ograniczona, bez charakteru katastrofy. Oczywiście nie zakłada się z góry, że Ameryka będzie prowadziła taką wojnę, ale Stany Zjednoczone i ich sprzymierzeńcy powinni być do tego zdolni, by koszty konfliktu stały się dla Rosji zbyt wysokie. Tą drogą będzie można znów wywierać polityczny nacisk na Sowiety.

Gdyby jednak doszło do wojny ograniczonej, która w naszej epoce byłaby wojną atomową, w grę weszłyby przygotowane z góry reguły postępowania i one właśnie nadałyby wojnie charakter ograniczony. Przedłożenie Rosjanom doktryny wojny ograniczonej i próba skłonienia ich do przyjęcia jej reguł — to jedynie dać może jakiś sens rokowań rozbrojeniowym.

Reguły — podobne do reguł „stylizowanych starć epoki feudalnej” — wyglądałyby następująco: Ogranicza się strefę głębokości tysiąca mil; oszczędza się większe miasta i lotniska strategiczne; używane są tylko taktyczne „czyste” pod względem radioaktywności bronie atomowe, o nie większej niż 500 kiloton siły wybuchowej. Istnieje system kontroli, który czuwa, by nie przekraczano reguł. Pomiędzy kampaniami militarnymi urzędza się paury, w czasie których przeciwnicy mieliby sposobność ustąpić w sprawach politycznych. Karą za naruszenie reguł będzie wielka wojna atomowa, gdyż obie strony zachowują nie naruszone lotnictwa strategiczne i bazy wylotowe swych dalekosiężnych rakiet.

Z książki wynikałoby, że ów „turniej atomowy” miałby się odbyć na terenie Europy. Nic dziwnego, że publicyści, którzy omawiali książkę Kissingera, podkreślali, że nawet

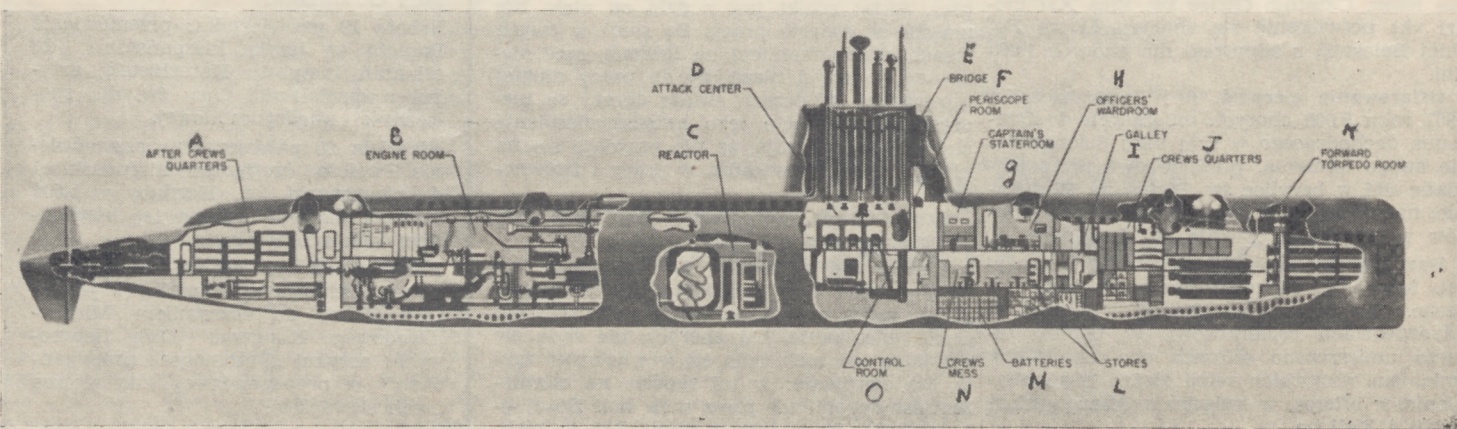
doktryna „odstraszenia” z jej „równowagą strachu” robi wrażenie znacznie realniejsze niż pomysł wskrzeszenia turniejów średniowiecznych, z bombą atomową jako orężem. Wprawdzie sekretarz s. anu Dulles — jak zaznacza korespondent hamburskiej „Die Welt” v. Borch — sam wysuwa koncepcję „wojny ograniczonej”, propagowaną przez Kissingera, aby w ten sposób „podbudować” uzbrojenie europejskich sprzymierzeńców Ameryki w taktyczną broń atomową, jednak nie tylko mieszkańcom Europy pomysł turnieju atomowego na terenie naszeg kontynentu nie może przypaść do smaku, ale także — zauważa Borch — koncepcja wojny ograniczonej musi niepokojąco pomniejszać wartość „wielkiego odstraszenia”, jeśli przeciwnika, w każdym bądź razie li cznie silniejszego, z góry się zapewnia, że potrzebuje liczyć się tylko z ograniczoną wojną atomową.

Co się za tym kryje? Londyński „Economist” (z dnia 26 października bież. roku) zastanawia się, dla jakiego celu miałyby służyć rosnący wciąż zachodni arsenał taktycznych broni atomowych. Jedną z możliwości jest realizacja koncepcji Kissingera i jego szkoły. Czy jednak kurs taki byłby realistyczny? — pyta pismo, Niekoniecznie. Osiągnięcia batalistyczne, zademonstrowane świeżo przez Rosjan, pozwalają przypuszczać, że mogą oni być wyposażeni w broń taktyczną równie jak Zachód. Jeśli jest tak, to wojna ograniczona w Europie nie przywróciłaby „status quo ante”. Rosjanie mogą się wycofać, zostawiając jednak zachodnią Europę w ruinach — byłaby to dla nich wyraźna korzyść w proporcjach siły militarnej w skali światowej, i to nawet gdyby Europa wschodnia ucierpiała także. Dlatego Chruszczow może ostatecznie wypowiedzieć się także za wojną ograniczoną.

Istnieją wszakże i dwie inne możliwości. „Planiści” militarni mogą przewidzieć czas, kiedy taktyczne bronie atomowe będą mogły być użyte do „zapiecztowania” danej granicy w obszarze bardzo wąskim, bez konieczności zaatakowania terenu nieprzyjacielskiego w ogóle. Zanim jednak taka koncepcja tej atomowej linii Maginota stałaby się uchwytą rzeczywistością, aliansi zachodni w Europie musieliby posiadać o wiele bardziej ruchome i bardziej dokładne działa atomowe niż posiadają obecnie, i to w wielkich ilościach; powinny to być może armata atomowa 155-milimetrowa. Rzeź na granicy byłaby straszliwa, lecz uniknęłoby się przez to być może gorszych konsekwencji.

Druga możliwość, zdaniem autora artykułu, zachodziłaby, gdyby dowództwo naczelne sprzymierzeńców w Europie doszło do wniosku, że choć atomowa artyleria polna nie miałaby zastosowania w akcji, jest ona konieczna do przekonania Rosjan, iż ich atak na Europę nieuchronnie wywołałby wojnę globalną. Europa nie będzie mogła być okupowaną w ciągu jednej nocy, a Sowiety nie będą mogły wymusić na Ameryce pod groźbą rakiet międzykontynentalnych uznania „faktów dokonanych”.

Oczywiście — konkluduje artykuł — człowiek, który nie jest ekspertem, może tylko wysnuwać pewne implikacje ze znanych właściwości broni. Argumentacja Kissingera z pewnością nie wywołała wielkiego skutku, jeśli chodzi o brytyjskie ministerstwo obrony — być może słusznie, skoro „sputnik” pokazał jej wady. Zagadnienie pozostaje nie rozwiązane i musi dalej zaprzętać umysły brytyjskich i amerykańskich mężów stanu i występować w ich naradach. B.



PLAN BUDOWY „NAUTILUSA”: A — pomieszczenie załogi; B — hala generatora i turbin; C — stos atomowy; D — pomieszczenie bojowe; E — pomost; F — periskop; G — kajuta kapitana; H — messa oficerska; I — kuchnia; J — pomieszczenie załogi; K — torpedy; L — składy; M — baterie; N — stołówka załogi; O — pokój nawigacyjny.

JESIENNY LAS PO DWAKROĆ

Napisał BOGDAN NIEMCZYK

Przygoda składała się z dwóch odrębnych przeżyć i chociaż pomiędzy jej początkiem a zakończeniem upłynęło kilka lat, nie wiedziałem, że dwa jej ognia nieoczekiwanie dla mnie samego spłota się w jedną całość. Po raz pierwszy i po raz drugi tak samo świeciło jesienne słońce i dwakroć jesienny las był świadkiem mego spotkania. Dzisiaj, po tylu latach, z całego zdarzenia wysuwać mogę już tylko poszczególne obrazki i złożyć je na nowo, aby tak samo jak wtedy wydały się znowu jedną i tą samą całością.

Powoli z ciemności nocnych wylaniają się masztowe pnie sosen, zakończone gdzieś u góry kitami igliwia, skąpo, ale coraz oficiej spływa światło i wypełnia las. Minuty oczekiwania odmierzane są szczykaniem zębów z zimna i emocji. Wreszcie na leśnym dukcie zjawia się wyczekiwany przez tyle poranków jelen. Jest na tyle już jasno, że na tle szaro brunatnych pni sosen widać czerwone barwy łani i szarobure byka. Towarzysz mój opuszcza powoli lornetkę i wolno podnosi sztucer. Widzę jeszcze jak koniec lufy zamiera na chwilę, a potem huk i przed oczyma pustka. Nie, widzę znowu las i teraz dociera dopiero do mej świadomości każdy ruch zwierzęt, teraz dopiero przypominam sobie krótkie i chrapliwe porykiwanie byka. Cały jeszcze dygoce wewnętrznie, lecz już podrywa mnie do biegu okrzyk towarzysza. Kilka susów i jesteśmy na miejscu. On kłeka i ogląda ziemię, ja również przyglądam się, ale na razie nic nie dostrzegam. Imponują mi ruchy myśliwego i jego poszukiwania tropu przypominają mi przygody Ducha Puszcz. Zapominam nawet o zwierzyńcu, która tutaj stała, i obserwuję dziwne praktyki towarzysza, jemu tylko znane obrzędy łowieckie. Wreszcie podnosi głowę i szepce: „postrzałek”. Potakuję, chociaż nie bardzo wiem o co mu chodzi.

— Widziałeś? — pyta. Przeczając potrząsam głową, bo rzeczywiście po strzale wszystko znikło mi nagle sprzed oczu.

A on kiwa głową i szepce ponownie do siebie: „postrzałek”... Wreszcie pokazuje mi na coś palcem. Na jagodnikach leży jakby pęk igliwia. Przypatruję się i widzę, że to kłak sierści.

— Dostał w komorę — mówi jakby do siebie mój towarzysz, pochyla się znowu i zgięty idzie po niewidocznych dla mnie tropach. Roztrzacamy gałęzie poszycia i stąpamy po grubej warstwie posuszu. Teraz i ja spostrzegam jakieś ślady.

Mój towarzysz znowu mówi niby do mnie i niby do siebie:

— Upadł na przednie badyle, odciski racic mocne i ostro rozszerzone na zewnątrz, inaczej niż zwykle — i po chwili: — to z bólu. Jeszcze kilka kroków, a będzie farba. Obaj równocześnie dostrzegamy bryzgi krwi, jasno różowe kropki na zielonych liściach. Myśliwy podnosi głowę i prawie triumfalnie oznajmia:

— Zestrzał dobry, komorowy, byk ma ruszone płuco.

Cały jesienny piękny dzień trwały poszukiwania. Zeszli się ludzie z bronią i psami, i przemierzali las. Szedłem z nimi, jednak w duchu pragnąłem, sam nie bardzo wiedząc

dlaczego, by jelen zdołał umknąć. Ta zorganizowana obława zabiła jakos urok i podniecenie porannego wyczekiwania. Niestety... Słońce już sięgało czubków drzew, gdy nagonka ruszyła przez młody zagajnik. Widziałem wszystko. Najpierw wzmogło się jazgotanie psów, potem zatrzeszczały gałęzie i na polankę wypadła łania. Stała na chwilę w ozłoconych przez słońce leśnych trawach, jakby czekając na coś czy węsząc niebezpieczeństwo. Potem wypadł, utykając na przednie nogi, byk. Przesadził wysokim susem jakieś wykroty i wiatrołomy i wtedy właśnie potknął się silnie. W tym momencie dopadła go sfora. Pochylił łeb, zamiótł wokół siebie wieniec. Psy rozpieczyły się, a on na moment łeb podniósł i wówczas padł strzał. Byk ukląkł, a potem zniknął zupełnie w trawie. Dobiegłem do niego, miał jeszcze otwarte oczy i w kącie jednego oka dojrzałem spływającą wolno łzę. Dzisiaj myślę, że może to była kropla rosy lub moja własna chłopcica łza. Z niechęcią patrzyłem na zbliżających się ludzi. Uzbrojeni w sztucery z lornetkami, śmiali się i radowali. Jeden z nich zbliżył się do powalonego zwierzęcia i butem odwracał bezwładną szyję. Obejrzałem się i o dwieście metrów od nas ujrzałem łanię szukającą widocznie towarzysza. Nie widząc go, odeszła w las. Jakże żałośnie zabrzmiał jej bek...

To pamiętne przeżycie nie było końcem mojej przygody. Wieczorem, nie mogąc słuchać przechwałek i ponownego przeżywania całej historii z jeleniem, którą myśliwi zaczęli się suto — jak przed chwilą obfitą kolacją, wyszedłem na dwór. Po piaszczystej drodze skrzyślały koła wozu wiozącego żalony plon ludzkiej namiętności. Na niebie świecił pełnią księżyc, a ja z gorliwością wyrostka przysięgałem sobie nie brać więcej udziału w niszczeniu stworzeń, które są dziełem Bożej ręki. Nie wiedziałem wtedy, że za lat kilka w taką samą jesienną noc rozegra się podobna, chociaż pozornie inna historia, i że w podświadomości mojej jedna zwiąże się z drugą.

Tej drugiej jesieni, rankiem stało się wiadome, że nasza czternasta poznańska dywizja już nie istnieje. Poległ jej dowódca, załamały się wszystkie próby przebiccia. Po nocnych walkach zwróżyły się grupy przygodnie zebranych żołnierzy, którymi dowodzili przypadkowi oficerowie. Skleiliśmy pluton, nazwaliśmy się grupą „Janek”. Dowodził porucznik, którego nazwiska nie pamiętam, wiem tylko, że na imię mu było Jan i że przed wojną był nauczycielem w Zbąszczyńcu.

Szliśmy puszcza i już nam się zdawało, że słyszymy huk dział broniącej się stolicy. Im bliżej wieczora, tym pewniejsi byliśmy, że tej nocy uda się nam przedrzeć przez niemiecki pierścień i dojść do Warszawy. Wszędzie po bokach trzaskały strzały, a my z każdą godziną maszerowaliśmy pewniej w nadziei, że uśmiechnął się do nas znowu kapryśny żołnierski los.

Słońce już zachodziło i w czasie malej odprawy dowódca wydał ostatnie rozkazy i wskazówki na nocny marsz. Ucichły już nad nami samoloty i czas było ruszyć. Szliśmy marszem ubezpieczonym. Prowadził porucznik z rkm-em, a za nim — jak cień — jego

ordynans niosący torby z magazynkami. Dochodziliśmy właśnie do niewielkiej polany, kiedy z przodu prasnęło kilka strzałów. Otworzyliśmy ogień zza drzew do przeciwległej ciemnej ściany lasu. Słońce świeciło w oczy i utrudniało obserwację. Wreszcie zobaczyłem na ciemnym tle jaśniejsze sylwetki. Migwały one pomiędzy drzewami, by przypadać znowu do ziemi, lub ukryć się w zielonym gąszczu.

Muszka mego karabinu zataczała małe półkola i zatrzymywała się na chwilę na miejscach, gdzie podejrzenie chwiała się gałęzie. Potem lekkie naciśnięcie języka spustowego, błysk... I znowu koniec lufy zataczał małe półkola. Z prawej — krótkimi seriami bił po przeciwległej ścianie mój porucznik, z lewej prał drugi karabin maszynowy. Gdzie gwizdały po gałęziach i odbijały się o pnie nadlatujące z tamtej strony pociski. Wreszcie, ogień niemiecki najwyraźniej przycichł. Oczekiwałem rozkazu do skoku, kiedy z lewej strony rozległ się okrzyk:

— Panie podchorąży, z lewej szkopy!

Nim zdołałem powtórzyć, ujrzałem pomiędzy pniami skaczące od drzewa do drzewa cienie. Zobaczyłem jeszcze bladą od wysiłku twarz porucznika, który krzyczał do mnie:

— Panie podchorąży, bierz pan połowę plutonu i grzej pan w nich, grzej pan do jasnej cholery!

Zagwizdały znowu z podwójną siłą pociski, nadlatujące jakby ze wszystkich stron. Ruchy moje stawały się automatyczne: trzaskanie otwieranego zamka, podrzut kolby, błysk i znowu pospieszne szarpnięcie powtórnie otwieranego zamka. Nagle, z drugiej strony polany wyrwał się okrzyk podobny do ryku: Niemcy ruszali do natarcia. Odrwały się z cienia postaci i biegly w naszą stronę. Zobaczyłem jeszcze jak naprzeciw nim wyskakuje zza drzewa porucznik i wali znad biodra długimi seriami. A potem... były wybuchy granatów, ale ja już ich nie słyszałem...

Było już po wszystkim. Leżałem na miękkim mchu i przypatrywałem się ciemnym, prawie że fioletowym plamom na mundurze. Było bardzo cicho i dziwiłem się tylko, że głowa jak gdyby mi pęczniała i stawała się coraz to cięższa. Przez drzewa przeświecały jeszcze blaski zachodzącego słońca. Patrzyłem na nie i myślałem: Jaka szkoda, że jutro już ich nie zobaczę. Podniosły mnie potem jakieś obce ręce i chrapliwie zabrzmiała obca mowa. Zobaczyłem leżącego twarzą na rkm-ie porucznika, a za nim — na plecach — jego ordynansa trzymającego jeszcze w rękach czarne pudełko magazynków. Wtedy podszedł gruby feldfel i kopnął w te ręce. Usłyszałem jeszcze jak mówił, że taki koniec czeka wszystkich, którzy chcieli iść na Berlin.

Księżyc świecił a po polnej drodze skrzyślały koła wozów wiozących zabitych i rannych w zielonych i w szarych mundurach. Skrzyślały tak, jak wóz wiozący przed laty upolowanego jelenia, i ta dawno miniona noc stała mi przed oczyma. Po dwakroć jesienny las, polski las, był świadkiem jak śmierć otarła się tuż koło mnie. Przypomniałem sobie swoją chłopcica przysięgę i choć może zabiłem dziś człowieka, nie wiem, czy naprawdę ją złamałem. Jakże różna była ta śmierć sprzed laty wobec tej, której teraz pełne są wozy. I czy ten chłopiec, którym kiedyś byłem, mógł przewidzieć tragiczne powikłania ideałów i obowiązków życia ludzkiego?

B. Niemczyk

O CZŁOWIEKU Z INTELIGENCJI

Opowiadano mi zabawne wydarzenie. Do znajomych moich przyszedł w odwiedziny gość z Polski, bawiący obecnie w Londynie.

Pokazano mu fotografie z jakiegoś wesela. Na jednej z tych fotografii widać było mężczyznę, niosącego w ręku grubego mszalika.

— Co to za człowiek? — zapytał gość z Polski. — Z jakiej on jest sfery? Wygląda jakby był z inteligencji...

Wydało mu się rzeczą dziwną, że człowiek z inteligencji, człowiek wykształcony, może używać mszalika, a więc być nie tylko człowiekiem wierzącym, nie tylko człowiekiem pobożnym, ale człowiekiem uznającym za właściwe zaglądać do pobożnej literatury.

Oczywiście, jestem jak najbardziej daleki od powątpiewania, by także i w Polsce można było spotkać ludzi wykształconych z mszalikiem pod pachą. Pewnie ów gość z Polski, o ile kręcił się czasem koło kościoła, takich ludzi widywał. Ale widać myślał, że to z ich strony tylko demonstracja. Ale w Londynie? Nie potrzeba tu robić publicznych demonstracji przynależności do obozu ludzi wierzących!

Zdziwienie owego przybysza — członka nie to, że rządzącej „elity”, ale w każdym razie rządzącej biurokracji — jest bardzo charakterystyczne. Nie wyraża ono postawy szczególnie nowej. Ludzi, umiających się w podobny sposób dziwić, można było w Polsce spotkać i przed wojną. Można ich nawet spotkać i w co ciemniejszych zakamarkach emigracji: wprawdzie zetknięcie się z szerokim światem wielu ludzi wiele nauczyło, ale są tacy, których nie nauczy nigdy nic.

Pojęcia dziewiętnastego stulecia, które znajdowały wyraz w takich odezvaniach się, jak prof. Brücknera, skądinąd wielkiego uczonego, ale pod względem duchowym syna swojej epoki, o „wzrastającej od końca XVII wieku” „fali” „co raz potworniejszych ascetyków”, tłumaczonych na język polski i obejmujących między innymi... Regułę św. Franciszka z Asyżu i pisma św. Franciszka Salezego, trwają w niektórych ośrodkach naszej półinteligencji i pseudo-inteligencji w ten sam sposób, w jaki mody, oddawna zapomniane wśród elegantek paryskich, trwają jeszcze przez długie lata wśród służących w Zakroczymiu i Ostrołęce.

Istnieje w naszym narodzie dość liczna klasa ludzi, którzy nie wyobrażają sobie, by pobożność katolicką można było łączyć z wysokim poziomem intelektualnym. Wierzyć w sposób irracjonalny — po cichu i jakby trochę wstydliwie? Ba! nawet modlić się, ale modlić się trochę z takim uczuciem, z jakim się unika feralnej trzynastki lub liczy na szczęśliwy numer na loterii? To owszem. Człowiek jest człowiekiem i ulega różnym słabościom. Ale posiadać grube książki religijne i brać je na serio? Dopuszczać religię w dziedzinę swego życia intelektualnego? — To nie do pojęcia.

Ludzi tak myślących jest w naszym społeczeństwie całkiem sporo. Ludzie ci wyobrażają sobie, że zasady wiary nie dadzą się pogodzić z nowoczesną nauką i z rozumem. Uważają oni, że wiara jest po części dla ludu, który jest wiedzy pozbawiony, a po części nawet i dla ludzi wykształconych, ale tylko jako impuls irracjonalny i rozumowi przeciwny.

Fakt istnienia i nawet dość licznego rozpowszechnienia wśród nas tych ludzi jest ciekawym zjawiskiem socjologicznym. Świadczą on, niestety, że jednak jesteśmy jako społeczeństwo zapóźnionym w rozwoju w porównaniu z innymi krajami. Bo, rzecz ciekawa, w społeczeństwach tak zwanych zachodnich katolizmem uchodzi za zjawisko wybitnie postępowe. W Anglii, we Francji, w Ameryce, nawet w Skandynawii, można spotkać wielu ludzi, którzy garną się do katolicyzmu w sposób, w którym da się wyczuć wręcz nuta snobizmu. Być katolikiem, to znaczy dla nich być człowiekiem myślącym, oryginalnym, idącym w pierwszym szeregu najnowszych prądów umysłowych. Nie chcą oczywiście kwestionować ich szczerości: ich szczerść jest niewątpliwa. Ale nawróciwszy się na katolicyzm z pobudek szczerych, są oni ze swego kroku dumni w sposób, przez który przeziiera, ludzkie zresztą i zasługujące na pobłażliwość, przeświadczenie o swojej intelektualnej wyższości nad tymi, co się dotąd nawróciło nie potrafiło. Idący w zachodniej Europie coraz szerszą falą katolicki prąd konwertycki, ogarniający protestantów, wielu wybitnych żydów, oraz liczną masę dawnych indyferentów pochodzenia katolickiego, jest przede wszystkim prądem intelektualnej elity.

Oczywiście istnieje na Zachodzie także i katolicki lud. I istnieje z drugiej strony i intelektualna elita niekatolicka i antykatolicka. Ale ani jedno ani drugie nie zmienia faktu, że szczególnie znamienitym rysem prądu katolickiego na Zachodzie jest jego wysoki poziom intelektualny.

Tak się składa, że dużo się o sobie stykam z katolikami angielskimi, amerykańskimi, włoskimi, francuskimi i innymi. Rzecz, która w nich uderza, to jest ich wybitne wykształcenie i znajomość rzeczy katolickich. Świecki Polak, który by czytał od deski do deski „Sumę teologiczną” św. Tomasza, albo dzieła św. Teresy z Avila, czy św. Augustyna, czy św. Bonawentury, czy Tertuliana, albo który by studiował komentarze do Pisma Świętego, albo rozkoszował się poezją św. Jana od Krzyża, albo kupował sobie czterdziestotomowe „Dzieje Papieży” Pastora, jest zjawiskiem wyjątkowym. Ale takich świeckich katolików-Anglików ja widuję co dzień całe zastępy. I proszę nie sądzić, że są to ludzie jednostronnie w swej wiedzy katolickiej zaślepieni i od wiedzy świeckiej i antykatolickiej odcięci! Taki świecki katolik, gdy się zetknie z angielskim agnostykiem, czy ateistą, czy protestantem — a styka się on z nimi codziennie — w dyskusji z reguły kładzie go na obie łopatki.

Ów typ Polaka, który nie wie o tym, jakim mocnym i głębokim prądem intelektualnym jest katolicyzm, nie zdaje sobie z tego w ogóle sprawy, jak bardzo jest sam intelektualnie zapóźniony i prowincjonalny. Jest to wistocie typ półinteligenta. Zyje on sobie w swoim prymitywnym światku, złożonym z wykonywanej po rzemieślnicemu pracy zawodowej, z płytkiej gazety, z kina i z popularnej powieści, z brzydka i może w najlepszym razie z popularnej broszury, komunistycznej, czy nie komunistycznej — i nawet pojęcia o tym nie ma, jakimi problematami myślowymi się dziś świat zajmuje.

Polonus

PRAKTYCZNE UPOMINKI NA ŚWIĘTA

BOTY na kozuszkę	
Damskie ...	£ 4. 0.0
Męskie ...	£ 4. 0.0
Dziecięce ...	£ 2. 0.0

BIELIZNA	
Damska nylonowa	£ 1.15.0
wełniana	£ 1. 4.0
Męska bawełniana	od 1. 0.0
wełniana	od 2. 0.0
Dziecięca wełniana	od 0.18.0

CHUSTKI	
Wełniane szwajcarskie	1. 5.0
Babuszki	£ 1. 6.0

GUMA	
Indyjska 2 3/4 lbs.	£ 1. 2.6

KOSZULE	
Męskie popelinowe	£ 1.15.0

MATERIAŁY WEŁNIANE (1 kupon)	
Na ubrania i kostiumy	od £ 6.15.0
Na jesionki	od £ 3.10.0
Na palta	£ 5.12.0
Płaszczki płastykowe	£ 0.17.6

PONCZOCHY (2 pary)	
Nylonowe ...	£ 0.17.6
Nylon-Crepe ...	£ 1. 6.0
Wełniane ...	£ 1. 1.0

SKARPEY MĘSKIE (2 pary)	
Crepe ...	£ 0.15.0
Wełniane ...	£ 0.15.0

SWETRY	
Damskie Twin-Sety	£ 3.10.0
Zakłady ...	£ 2.15.0
Super-zakłady	£ 4.10.0
Męskie bez zapięcia	
V-neck (Slip-Over)	£ 1. 8.0
Kardigany ...	£ 2.10.0

WEŁNA	
Włóczkowa EMU Scotch	
1 1/2 lb.	£ 2. 0.0
EMU Zephyr 1 lb.	£ 1.12.0
Do maszyn dziewiarskich	
1 lb.	£ 1.12.0
1 1/2 lb.	£ 2. 0.0

U w a g a — Przy zamówieniach od £ 5.0.0 przesyłka bezpłatna.

A D R E S :

M. B. GRABOWSKI
175 DRAYCOTT AVENUE.
L O N D O N, S. W. 3.
Tel. KENsington 0750

J E S L I L E K I,
T O
Z A P T E K I
G R A B O W S K I E G O

CZTERDZIEŚCI LAT TEMU W PIOTROGRODZIE

Prasa Zachodu pełna była w ostatnich dniach wspomnień wydarzeń w Piotrogradzie (tak się wówczas nazywał) w roku 1917, kiedy to bolszewicki zamach stanu obalił tymczasowy rząd Kiereńskiego i ustalił w Rosji dyktaturę komunistyczną, trwającą po dzień dzisiejszy.

Publicysta niemiecki Walter Gorlitz artykuł swój w „Die Welt” na ten temat rozpoczyna od przypomnienia okoliczności, w jakich przywódca bolszewików, Władimir Iljicz Ułjanow, noszący w partii miano Lenina, przeszedł wieczorem 25 października (tj. 7 listopada według stylu europejskiego) ulicami Piotrogradu ze swej kryjówki przy Szosie Wyborskiej do Instytutu Smolnego, gdzie się mieściła główna kwatera partii bolszewickiej.

— Stać! Przepustki! — wykrzyknęli tego wieczoru na ulicy Szpalernej dwaj konni kadeci do pary piechurów, którzy w sposób podejrzany gdzieś się spieszyli. Jeden z nich miał twarz owiniętą brudnym szalem, jak gdyby go bolały zęby. Kadeci, z trudnością poskramiając niesforne konie, niesli przy sobie szable, a w prawych rękach nahajki.

Podczas gdy człowiek w szalu szedł dalej, jego towarzysz uwikłał się w utarczkę słowną z młodymi aspirantami. Upierał się, że nie ma w ogóle przepustek. Kadeci pogrozili mu nahajkami, ale w końcu z pogardą puścili wolno ludzi, którzy robili wrażenie włóczędzów. Nie przeczuwali, jaka zwierzyzna im się wymknie. Człowiekiem w szalu był nie kto inny, jak Lenin, który już następnego dnia stał się faktycznym władcą dawnego państwa carów.

W Instytucie Smolnym. Zaledwie na dwa tygodnie przedtem w Instytucie Smolnym, gdzie dawniej wychowywane były córki arystokratów rosyjskich, usadowił się „Komitet Wojenno-rewolucyjny” z towarzyszami Lwem Bronsteinem-Trockim i Wasylem Antonowem-Owsiejenką.

Był to sztab generalny bolszewickiego zamachu stanu. Zamach ten miał się rozpocząć w dniu 25 października (7 listopada), gdy zbierał się II Wszechrosyjski Kongres Sowietów Robotników, Żołnierzy i Włościan. Było to posunięcie szlachowe Trockiego. Lenin miał początkowo zastrzeżenia przeciw temu, gdyż uważał ogólnie powstanie ludu za skuteczniejsze, Trocki jednak sądził, że zamierzony zamach stanu otrzyma w kongresie sowietów potrzebną podstawę masową. Istotnie osiągnął już nie lada sukces, gdyż większość oddziałów silnego garnizonu piotrogrodzkiego, w tym wszystkie pułki uzupełniające gwardii, podporządkowały się Komitetowi Wojenno-rewolucyjnemu.

A tymczasem „trudownik” Aleksander Feodorowicz-Kiereński zajęty był nadal przygotowaniem do zbudowania nowej republiki rosyjskiej i kłopotał się konstrukcją przyszłego parlamentu.

Jednak w czwartek 24 października (6 listopada) zdecydował się wreszcie na kroki ostrożności wobec gotującego się zamachu Lenina. Kroki te wszakże podjęte zostały, jak gdyby dawny aparat państwowy, wojskowość i policja jeszcze funkcjonowały. Zawieszono gazety bolszewickie, zarządzono uwięzienie wybitnych bolszewików.

Ponieważ jednak nie całkiem ufano garnizonowi, głównodowodzący piotrogrodzkiego okręgu wojskowego, pułkownik Polkownik wydał licznym szkołom oficerskim w mie-

ście i na przedmieściach rozkazy, by ubezpieczyły najważniejsze punkty milionowego miasta i przejęły sraz w Pałacu Zimowym nad Nową, gdzie rezydował rząd tymczasowy.

Rozluźnienie i zdziwienie wśród młodzieży. Po Piotrogradzie waleśały się w tym czasie setki tysięcy żołnierzy. Zuli ziarna słoneczników, debatowali, dyskutowali, chodzili na zebrania i wypełniali kinoteatry. Armia była „demokratyzowana”. Niemalże nie było służby, panowała polityka. W mieście znajdowały się także dziesiątki oficerów, kryjących się od czasu rewolucji marcowej, kiedy setki ich poszły już „pod ścianę”. Kiereński armię „zdemokratyzował” przede wszystkim w ten sposób, że uznał dotychczasową dyscyplinę za „nienowoczesną”.

Przed niespełną dwoma miesiącami głównodowodzący generał Lawr Georgiewicz-Korniłow, syn syberyjskiego oficera kozackiego, próbował zmusić Kiereńskiego do wprowadzenia dyktatury wojskowej z Korniłowem na czele. Kiereński usunął go z zajmowanego stanowiska i wtrącił do więzienia. Komendant 3 korpusu kawalerii, w skład którego wchodziła także „dzika dywizja”, złożona z górali kaukaskich pod wodzą księcia Bagrationa, który miał wówczas zająć Piotrograd, generał Krymow zastrzelił się ze słowami: „Nie warto już żyć”, gdy zamach się nie powiódł.

W dniu 24 października (6 listopada) wybuchła tu i ówdzie ogień karabinowy. Trzszcza karabiny maszynowe. Oddziały kadetów ścierają się z oddziałami nowej Czerwonej Gwardii, składającymi się z marynarzy, żołnierzy ongiś sławnych pułków gwardii, z robotników fabryk pułkowskich i innych zakładów. Gdzież jest jednak powstanie ludu? Tramwaje kursują, teatry grają, kinoteatry są otwarte, obłożone jak zawsze przez żołnierzy, którzy nie pytają ani o Kiereńskiego ani o Lenina, lecz ogarnięci są przez anarchię.

Kto jeszcze pragnie walczyć. W Pałacu Zimowym obraduje Kiereński ze swymi ministrami. Pojawia się on również w przeciwnym gmachu sztabu generalnego. Roją się tam tysiące oficerów. Nikt właściwie nie wie, co ma robić, ani też co się powinno robić. Wielu instynktownie, postępując w myśl mądrości ginącego świata: „Jedźmy, pijmy i bądźmy weseli, gdyż jutro nie będziemy żyli”. Płynię szampan i brzęczą opróżniane kieliszki.

W Pałacu Zimowym melduje się jednak „batalion śmierci”, oddziały kobiece zorganizowane dla poparcia rządu tymczasowego. W skład ich wchodzi dziewczęta z najlepszych rodzin dawnej Rosji.

Zapada noc z 24 na 25 października (6 na 7 listopada), zimna i wilgotna od deszczu. Komitet Wojenny jest już faktycznie panem miasta. Lenin a także Stalin pojawiają się w Instytucie Smolnym, strzeżonym przez marynarzy uzbrojonych po zęby. Po ulicach hucają samochody pancerne, patroluje przeciągają w różnych kierunkach, kadeci i czerwonogwardziści. Krążownik „Aurora” porusza się powoli w górę Newy. Jego załoga uwięziła wiernych rządowi oficerów. Krążownik zarzuca kotwicę przy moście Mikołaja, niedaleko Pałacu Zimowego.

Rankiem 25 października Kiereński spiesza za miasto samochodem, by sprowadzić stojący jakoby koło Gatchyny 3 korpus kawalerii, na którego czele znajduje się obec-

nie generał Krasnow, kozak doński, który podobnie jak Korniłow wątpił, czy należy w ogóle spieszyć z pomocą takiemu słabemu demagogowi, jakim był Kiereński.

O godzinie 10 rano Komitet Wojenny obwieścił, że rząd tymczasowy został usunięty i że na jego miejsce władzę państwową objął w swe ręce Komitet.

Ostatnie chwile rządu tymczasowego. W Pałacu Zimowym panują zamieszanie i bezradność. Skoncentrowani są tu kozacy dońscy, kadeci różnych szkół oficerskich, oddziały samochodów pancernych.

Ministrowie rządu tymczasowego: wicepremier Konowalow, urzędujący minister wojny generał Manikowski, minister spraw zagranicznych Tereźczenko, jeden z „królów cukru” Rosji — bladzi, nerwowo bez przerwy palili papierosy.

W Pałacu Zimowym odbywały się meetingi kadetów, podczas gdy inni aspiranci oficerscy czynili przygotowania do obrony; krążyły pogłoski, że przybędą wkrótce kozacy Krasnowa, kręciło się wielu desperowanych oficerów, były konferencje ministrów — jednego tylko było brak: człowieka energicznego, który by objął wydawanie rozkazów.

Najgorszą z punktu widzenia rzeczą było to, że nie potrafiono zamknąć hermetycznie tego ogromnego budynku, którego pomieszczeń nie znali dokładnie ani politycy, ani obrońcy. Agitatorzy bolszewicy dostawali się do pałacu i puszczali różne wersje, wywołując jeszcze większe zamieszanie. W sali św. Jerzego, tak zwanej Białej Sali z powodu białości jej marmurów, gdzie obradowali ministrowie, wybuchła nawet bomba.

Od wczesnych godzin popołudniowych fronty pałacu znajdowały się pod ogniem karabinów i kulomiotów. Na ogień ten odpowiadano nieregularnie z okien pierwszego piętra, gdzie pełnili służbę kadeci z Oranienbaumu, oddziały inwalidów oraz kompanie kobiece. Pod osłoną samochodów pancernych podsunęli się pod pałac marynarze i czerwonogwardziści. Kompania szturmowa kobiet zrobiła wypad, ale została wystrzelana.

Około 6 po południu pałac był otoczony ze wszystkich stron. W budynku sztabu generalnego dziesiątki oficerów kapitulowały bez jednego strzału. Antonow-Owsiejenko, specjalista od walk ulicznych i nowej taktyki wojny domowej, przedstawia rządowi tymczasowemu ultimatum. Jeśli rząd się nie podda, dzieła „Aurory” i przybyłych tymczasem innych okrętów wojennych, oraz baterie twierdzy piotropawłowskiej otworzą ogień przeciw Pałacowi Zimowemu.

Na ultimatum nie było odpowiedzi. W pałacu jednak wzrosła jeszcze panika, gdy przejściowo zgasło światło elektryczne. Wybuchnęły pierwsze granaty „Aurory”. Nie wyrządziły one wiele szkody, ale efekt moralny był przerażający. A równocześnie z Ermitażu do pałacu przenikały coraz dalsze bojówki marynarzy.

W korytarzach ozdobionych obrazami, w salach, w których carowie ongiś przyjmowali szlachtę rosyjską, w obszernych klatkach schodowych rozpoczęła się strzelanina. Ze strasliwym trzaskiem wybuchły ręczne granaty. Nikt dokładnie nie wiedział, gdzie stoją marynarze, a gdzie kadeci. Najczynniejszy z ministrów, Palczyński, pomocnik ministra dobroczynności, zebrał przy sobie garść kadetów, by próbować czegoś w rodzaju przeciwdzierzenia.

(Dokończenie na str. 15)

ŻYCIE MIĘDZYKRAJOWE

NOWY RZĄD KANCLERZA ADENAUERA

(Od własnego korespondenta z Berlina)

Po ukonstytuowaniu się nowego parlamentu znacząco - niemieckiego, Bundestag na propozycję prezydenta republiki prof. Heussa wybrał senatorem parlamentu i prezesa najsilniejszego stronnictwa Konrada Adenauera po raz trzeci kanclerzem Niemieckiej Republiki Federalnej. Kanclerz Adenauer rozpoczął dziewiąty rok swego urzędowania od powołania nowego rządu, który — w porównaniu z pierwszym gabinetem z roku 1949 — wykazuje za wyjątkiem urzech ministrów całkowicie zmieniony skład. „Weteranami” i nieprzerwanymi od osmiu lat towarzyszami rządowymi Adenauera są: minister spraw gospodarczych Ludwig Erhard, minister komunikacji Hans-Christoph Seebohm i Fritz Schnaeffer, do niedawna minister skarbu, w nowym rządzie minister sprawiedliwości.

Zadanie było skomplikowane. Nowy rząd ma — podobnie jak dwa poprzednie — oparcie o szeroką koalicję, mimo że sama CDU (chrześcijańska demokracja) rozporządzała w drugim i w większym jeszcze stopniu w obecnym parlamencie rozporządza absolutną większością. Partnerem koalicyjnym CDU jest i tym razem konserwatywna Niemiecka Partia (DP), zastąpiona w rządzie przez dwóch ministrów, Seebohma i von Merkacza. Montowanie nowego gabinetu zajęło pięć tygodni czasu, mimo że zestawienie listy członków rządu wydawało się — wobec faktu posiadania absolutnej większości — rzeczą raczej prostą i nieskomplikowaną. W rzeczywistości było inaczej. Dr. Adenauerowi przypisuje się z tej racji powiedzenie: Łatwiej przeprowadzać trzy kampanie wyborcze, aniżeli tworzyć jeden rząd. CDU jest partią, reprezentującą interesy różnych oślamów i nieraz sprzecznym z sobą grup i zespołów społeczno-gospodarczych. Zaspokojenie ich wszystkich bez zrażania sobie kogokolwiek — wymagało niepowodzenia uzgodnień negocjacyjnych. Czynnikiem szczególnie utrudniającym tym razem tworzenie rządu był fakt, że kanclerz obchodzić będzie w styczniu 82 rok życia, że przeto ewentualność ustąpienia jego przed wpływem kadencji należy do rzeczy możliwych. Każda z grup usiłowała więc wprowadzić do gabinetu takie osobistości i zająć takie pozycje, które by ułatwiły w danym wypadku pretendowanie do stanowiska przyszłego kanclerza. Walka toczyła się m. in. w dużym stopniu o „wicekanclerza”, pomyslane przez niektórych jako przesadzonego „następcy tronu”. Adenauer w sposób widoczny i zgodny ze swoją dotychczasową praktyką unikał mianowania „następcy”, nie chcąc żadnemu z potencjalnych pretendentów przyznać stanowiska uprzywilejowanego i nie chcąc też nikogo zrażać. Taktyka ta była tym bardziej zrozumiała, że do objęcia — po wycofaniu się Adenauera z życia politycznego — roli kierowniczej w partii i w państwie pretendują dwie najsilniejsze grupy terytorialne CDU: grupa westfalsko-nadrenska z byłym premierem krajowym Arnoldem na czele, uchodzącym za eksponenta odłamu „lewego” CDU, i grupa bawarska CDU posiadająca odrębność organizacyjną (z zasłużonym, jakkolwiek przez niektórych namięt-nie zwalczanym byłym ministrem skarbu Schaefferem i młodym, pełnym dynamiki ministrem obrony Straussem), a także odłamek „prawicowy” CDU, pomawiany o reprezen-

towanie interesów bardziej konserwatywnych, a wreszcie kilka pomniejszych grup lub konwentykli. Grupy te reprezentują więc i katolików i protestantów.

Utrzymanie parytetu wyznaniowego. Rozwiązanie tak skomplikowanego zadania polityczno-arytmetycznego pociągało za sobą — rzecz prosta — szereg „ofiar” i rozczarowań. Parytet wyznaniowy został utrzymany z precyzyjną dokładnością. Nowy gabinet liczy 9 ministrów katolików i tyluż protestantów. Ofiarą tego „parytetu” padł dr Kie-singer, katolik wirttemberski, adwokat w Rottemburgu koło Stuttgartu (siedziba biskupa katolickiego), któremu wróżą wielką przyszłość polityczną i który był upatrzonej na stanowisko ministra sprawiedliwości. W płaszczynie różnic natury gospodarczej i osobistej szukać należy racji wyeliminowania Schaeffera, który, jako minister skarbu, był jednym z filarów ekonomicznych gabinetów poprzednich. Całkowite odsunięcie tego bezspornie zasłużonego kierownika niemieckiej polityki finansowej było — wobec sprzeciwu wpływowej CDU — niemożliwe, dano mu zatem stanowisko szefa resortu sprawiedliwości, pozostawiając mu tym samym możliwość pretendowania (w przyszłości) do roli kierowniczej. Rzeczą znamionną jest także niewęjsze do rządu wiceprezesa partii, Arnolda, byleżo premiera westfalskiego, który wymieniany był niejednokrotnie jako ewentualny następca Adenauera. Razem z nim nie do-czekał się też rangi ministerialnej Meyers, były westfalski minister spraw wewnętrznych, towarzysz Arnolda i przedstawiciel młodszej generacji (lat 43), który był kierownikiem akcji wyborczej i o którym również szeptano jako o przyszłym „potencie” partii rządowej. Wyeliminowanie tych obu kandydatów ministerialnych uzasadniono koniecznością trzymania ich w rezerwie dla przyszłej kampanii wyborczej w kraju westfalsko-nadrenskim, w czasie której CDU dążyć będzie ponownie do objęcia rządów w tym najsilniejszym i gospodarczo najważniejszym członie Republiki Federalnej. W istocie eliminacja Arnolda i Meyersa oznacza — przynajmniej w chwili obecnej — osłabienie odłamu „lewicowego” CDU.

Najbardziej nienaruszalną i o największej wartości pozycją osmioletnich rządów Adenauerowskich okazał się w rezultacie minister spraw gospodarczych — Ludwig Erhard. Jemu, jako „twórcy cudu gospodarczego” przypisuje się nie bez słuszności — obok Adenauera — największą zasługę w zapewnieniu CDU tak potrzebnej większości parlamentarnej Erhard, cieszący się wielkim — jak żaden inny minister — zaufaniem kanclerza, został przewodniczącym komitetu gospodarczego Rady Ministrów i tym samym jedynym i nadrzędnym kierownikiem zachodni-niemieckiej polityki gospodarczej. Został on mianowany wicekanclerzem. Nominacja ta nie oznacza jednak koadiutorstwa politycznego kanclerza. Erhard zajął raczej stanowisko podobne do tego, jakie w ostatnich latach rządów sanacyjnych zajmował w Polsce wicepremier Kwiatkowski. Sprawa następstwa politycznego nie jest przez mianowanie Erharda automatycznie przesądzona. Ale Erhard jest dziś bezspornie najsilniejszą postacią obecnego rządu. Gdyby Adenauer jutro ustąpił, następca jego byłby prawdopodobnie Erhard. Czy Erhard zostanie kanclerzem za trzy albo cztery lata, trudno przewidzieć. Na arenie niemieckiego życia politycznego pojawił się bowiem nowy człowiek, obecny minister finansów, Franz Etzel, o którym mówi się, że cieszy się szczególnym zaufaniem kanclerza i że jest przez niego tyranizowany na przyszłego szefa rządu. Etzel,

lat 55, jest z zawodu adwokatem, ale od wczesnej młodości wiedzę swoją prawniczą oddał na usługi „węgla i stali”, uchodzić więc może jako człowiek zachodnio - niemieckiego przemysłu węglowego i stalowego. W CDU piastował stanowisko przewodniczącego komisji gospodarczo - politycznej, ale od lat zajmował się „europeizacją” niemieckiego przemysłu węglowo-stalowego, zajmując stanowisko wiceprezesa Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Etzel będzie nie tylko w sposób dominujący oddziaływał na przyszłą politykę gospodarczą rządu, ale będzie również rzecznikiem europejskiej polityki Niemiec. Aktywizacja NRF na tym odcinku była niejednokrotnie zapowiadana. Wprowadzenie Etzla do rządu świadczy o tym, że „europeizacja” polityki niemieckiej wchodzi w okres intensywnej aktywizacji. Ciekawą będzie — być może — w przyszłości rywalizacja pomiędzy Erhardem i Etzlem. Większe szanse Etzla polegają na tym, że jest on człowiekiem wyraźnie politycznym, kiedy Erhard, chociaż nie pozbawiony także ambicji politycznych, jest raczej tylko wybitnym ekonomistą.

Formowanie nowego rządu odbyło się niemal wyłącznie pod kątem wymagań wewnętrzno-politycznych. Również i deklaracja programowa rządu, wygłoszona przez dr. Adenauera w dniu 29 października przed nowym Bundestagiem, poświęcona była przede wszystkim polityce wewnętrznej. Krótki tylko ustęp poświęcił kanclerz sprawom zagranicznym, kładąc większy, aniżeli dotychczas nacisk na bezkompromisowe kontynuowanie polityki integracji europejskiej, sojuszu z Zachodem i silnej ręki w stosunku do Wschodu. Mimo tak głośno zapowiadanej aktywizacji niemieckiej „polityki wschodniej” — mowa programowa poruszyła ten odcinek zaledwie marginesowo, powtarzając znane, w istocie niczego nowego nie wnoszące, sformułowania ogólne o dążeniu do „dobrych stosunków” ze Wschodem. Fakt ten — jak twierdzą znawcy życia zakulisowego w Bonn — podyktowany był świadomością braku dotychczas wyrażonej koncepcji programowej, jeśli chodzi o postępowanie w stosunku do krajów bloku wschodniego. Potwierdza to hipotezę, wypowiedzianą przez nas już kilkakrotnie, m. in. w jednej z niedawnych korespondencji na temat reakcji Bonn na uznanie NDR przez Jugosławie. (Por. ŻYCIE nr 44.) Mimo to publicystyczna dyskusja na temat konieczności normalizacji stosunków z Polską trwa nadal. Niemiecka Republika Federalna znajduje się przed jej późniejszą w sytuacji, w której zmuszona będzie zająć w tej sprawie wyraźne stanowisko.

ZA KULISAMI PRZEWROTU W SYJAMIE

Kulisy wydarzeń w Syjamie nie są jasne. Kilka tygodni temu marszałek Sarit Thanarat dokonał zamachu stanu i ujął w swoje ręce władzę w kraju. Wypędził on swego przyjaciela, premiera Pibul Songgrana, z którym ćwierć wieku temu obalili króla — i zmusił do udania się na wygnanie w Szwajcarii swego rywala, wszechpotężnego szefa policji i ministra spraw wewnętrznych Phao. Zapowiadało się to już od szeregu miesięcy. Już w początku czerwca premier Pibul Songgran podał do wiadomości gazet, że posiada dowody na to, iż mała, do tej pory pozbawiona wpływów, opozycja próbowała przeciągnąć na swoją stronę marszałka Sarit Thanarat i obalić rząd. Naturalnie i tym

razem armia zapewniła, podobnie jak parę miesięcy temu, o swej wierności dla króla i rządu.

Daremne wysiłki premiera. Wypadki rozwinęły się dramatycznie, gdy premier podjął spóźnione wysiłki uzdrowienia swego rządu. Wystąpił on z żądaniem, by wszyscy ministrowie zrzekli się swych pobocznych dochodów, lub też ustąpili. Któż bowiem, będąc ministrem spraw wewnętrznych, zrzeka się chętnie dochodów z 400 przedsiębiorstw i podobnie, będąc szefem policji wyrzeka się chętnie sumek spadających w związku ze szmugłem opium? Podobnie, któż nie będzie zły, gdy się od niego zażąda poświęcenia całego czasu armii, skoro jest się głównodowodzącym — gdyż oznaczałoby to rezygnację z piastowanych placówek kierownika największego banku oraz loterii państwowej w tym kraju, w którym ludzie wszystkich warstw lubują się specjalnie w takich próbach uzyskania bogactwa bez pracy. O wszystkich tych sprawach mówiono coraz częściej — i o tym także, że i sam premier ma podobne „uboczne” placówki, a jego żona posiada lukratywną licencję na zagraniczny napój orzeźwiający.

W każdym razie premier za późno zabrał się do oczyszczenia tych stosunków.

Rola króla i rozpadnięcie parlamentu. Nowi władcy posłali „na grzybkę” parlament, gdyż składał się on prawie w osiemdziesiąciu procentach z oddanych zwolenników premiera. Spośród 320 posłów — tylko 160 było wybranych. Inny mianował król; spośród wybranych społeczeństwa — 85 należało do stronnictwa rządowego.

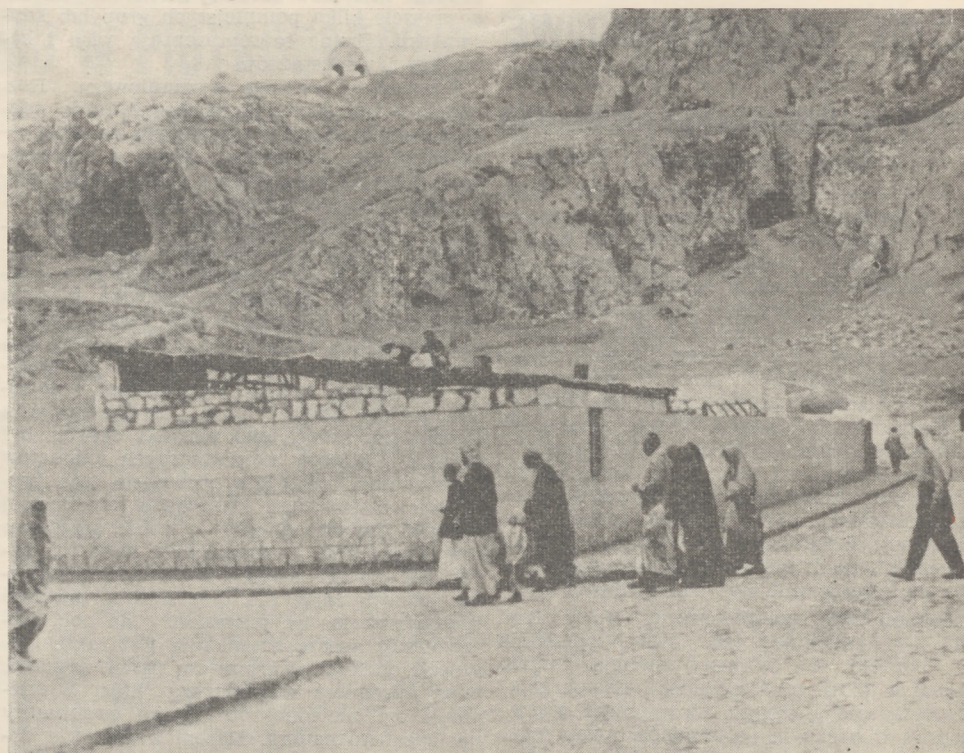
Król jednak nie był w ogóle zapytywany przy całej akcji. „Gdyśmy byli u niego, było już po wszystkim” — oświadczył marsz. Sarit i w ten sposób dał do poznania, że młody człowiek może sobie siedzieć spokojnie w swym pałacu, zbudowanym przez brytyjskiego architekta, ale pod warunkiem, że nie będzie się mieszał do spraw politycznych. Niekiedy twierdzą, że istotnie król woli zajmować się muzyką niż polityką.

Echa na zewnątrz. W tej chwili jeszcze nie można powiedzieć, jakie skutki będzie miał pucz marszałka, zarówno w polityce wewnętrznej, jak zagranicznej. Najbliższą pozycję w Syjamie posiadali dotąd Amerykanie, ale były też dążności do nawiązania stosunków z Chinami czerwonymi. Zwolennikami uznania ich byli zarówno minister spraw wewnętrznych Phao, który potajemnie utrzymywał ponoć pewne z nimi stosunki, a także — jak twierdzi korespondent hamburskiej „Die Welt” — sam premier, który jednak pod wpływem Amerykanów głosił coś wręcz odwrotnego.

Będący teraz u władzy marsz. Sarit Tharnarat jest podobno zwolennikiem „polityki dobrego sąsiedztwa” z Chinami i chciałby nawiązać stosunki z antyamerykańskimi grupami lewicowymi, chociaż zapewnił, że Thailand pozostanie wraz z mocarstwami zachodnimi w pakcie Azji południowo-wschodniej. Oczywiście ze swej strony Moskwa robi wszystko, by rozluźnić węzły między Syjamem a Zachodem.

MOSKWA — WASZYNGTON — LONDYN

W Moskwie — w obecności niemal wszystkich przywódców państw „socjalistycznych”, z Mao-Tse-Tungiem na czele — Chruszczow hulałwicie fetował 40-lecie rewolucji w historii dwóch sztucznych księżyców, pogłosek o sięganiu do prawdziwego księżyca, wypu-



Na granicy turecko-syryjskiej panuje spokój wbrew alarmującym doniesieniom prasowym. O kilka metrów od Turcji widać przechodzących do pracy Syryjczyków. Sztuczne napęcznie, za którym kryje się robota sowiecka, działa tylko — jak na razie — z daleka od granicy państw nim objętych.

szczenia największego w świecie pasażerskiego samolotu TU-114 i turkotu dział atomowych... Pomimo głośnych akcentów pokojowych, pomimo propozycji nowego spotkania „na szczycie” z celem postawienia wojny poza prawem, pomimo wdychań o pokojowe współzawodnictwo w przestrzeni międzyplanetarnej — rocznica została zaplanowana jako pokaz siły technicznej i wojskowej Związku Sowieckiego. Tym bardziej to podkreślano, im bardziej pogębienie i pokajanie się Żukowa rzuciło cień na tezy o harmonijnym zbiorowym przywództwie w „socjalistycznej macierzy”...

Wielka rewia wojskowa ukazująca nowe bronie, pogrozki i podnoszenie potęgi światowej bloku komunistycznego, opartej na braterskiej współpracy rosyjskiego i chińskiego kolosa — były tym swoistym dla oświadczeń o „koegzystencji”. Zresztą Chruszczow wyraźnie stwierdził, że nie można mówić o „pełnej harmonii...” i pogodzeniu między komunizmem i ideologiami burżuazyjnymi... Ktokolwiek by zajął podobne stanowisko, odchyliłby się od marksizmu-leninizmu. Różnice ideologiczne są nie do pogodzenia i nadal będą istniały...” — Osiągnięcia Stalina zostały obronione, a zwolennicy odmiennych „dróg do socjalizmu” ostrzeżeni, że dróg tych nie powinno być zbyt wiele...

W Waszyngtonie — administracja zbyt nerwowo stara się nadrobić zaniedbania, próbując niepotrzebnie reklamować cząstkowe osiągnięcia techniki amerykańskiej, której ogrom i zasięg — przy zwiększonym i bardziej racjonalnym wysiłku — nie potrzebowały reklamy innej niż wyniki. Mianowanie specjalnego doradcy Białego Domu dla spraw naukowych i technicznych, dr. James Killiana, jest posunięciem słusznym, które zarazem wskazuje, że koordynacja i racjonalizacja wysiłku powinna być dawniej przeprowadzona.

Krzężanie się dokoła zwiększenia wysiłku technicznego nie powinno Ameryce przesłać świadomości, że wysiłek z Sowietami nie może być rozgrywany na terenie przez nich wybranym. Organizacja pokojowej współpracy międzynarodowej, sprawiedliwszy rozdział bogactw przez racjonalny plan pomocy w skali światowej, praktyczna realizacja głoszonych hasel moralnych w polityce i ekonomii społecznej — to tereny, na których mocarstwa demokratyczne mogą i powinny wysiłek wygrzywać.

W Londynie — te problemy znalazły swój wyraz, wcale głęboki, w... przemówieniu tronowym królowej Elżbiety II na otwarciu parlamentu. Paradoksalnie przedstawia się zestawienie bombastycznych wypowiedzi proletariackiego dyktatora Chruszczowa z treścią mowy demokratycznej monarchini, którą konstytucja wszelkiej władzy pozbawia... „Stałym dążeniem mojego rządu — brzmiały słowa przez rząd w usta Królowej włożone — będzie umacnianie jedności uczuć i zamiarów wśród wolnych narodów, w służbie prawa i tych wartości, na których opiera się nasza cywilizacja... Rząd będzie się starał o wzmocnienie instytucji Narodów Zjednoczonych dla obrony sprawiedliwości i pokoju w świecie... Zgodnie z przekonaniem o prawie ludów do wolności i samorządzenia się, moi ministrowie będą nadal działali na rzecz politycznego i gospodarczego usamodzielnienia się terytoriów zamorskich...” Mowa obwieszcza decyzję doprowadzenia do skutku Europejskiej Straży Wolnego Handlu. Choć ministrowie konserwatywni układali przemówienie, nie brak w nim konkretnych akcentów społecznych: pełne zatrudnienie, zwiększenie rent inwalidzkich, rent starczych...

...Trzy tygodnie temu — kończyła Królowa — otwierałam sesję parlamentu kanadyjskiego. Dziś otwieram sesję parlamentu w Westminsterze, gdzie nasi przodkowie wiele wieków temu kładli pierwsze podwaliny



Ostatnie wystąpienia sowieckie wzmocniły osłabione węzły jedności państw wolnego świata. Przyjaźń i współpraca państw anglosaskich rozwija się prawie tak samo pomyślnie jak to było w czasie ostatniej wojny. Na zdjęciu Harold MacMillan, prezydent Eisenhower i Paul Speak, sekretarz NATO. Z tyłu stoją: Selwyn Lloyd i Dulles.

pod te instytucje parlamentarnej demokracji, które ludy w świecie całym przyjmują jako gwarancje ich praw, ich swobód i ich nadziei. Z nowego świata przywozłam zapewnienia mocnej przyjaźni i wspólnych przekonań. Świadoma w moim sercu otuchy tych zapewnień, proszę Boga Wszemocnego, by Jego błogosławieństwo towarzyszyło waszym obradom.”

EUROPA SIĘ NIECIERPLIWI

Nastrój zniecierpliwienia w europejskiej opinii politycznej rośnie. Z jednej strony od miesięcy politycy nawołują do przyspieszenia procesów całkujących i toczą się na różnych szczeblach i w różnych środowiskach debaty w sprawie ekonomicznej integracji europejskiej, z drugiej zaś kryzysy — czy to zewnętrzne, prowokowane przez międzynarodowy komunizm i ułatwane przez brak polityki Zachodu, czy wewnętrzne, jak kompromitujący kryzys rządowy we Francji — hamują postęp w praktyce. Techniczne „fajerwerki” sowieckie zabarwiają zniecierpliwienie — niepokojem, tym większym, że komunistyczne sukcesy wykazują naocznie, iż rządy zachodnie po prostu nie zdawały sobie sprawy, jak dalece Moskwa posunęła się naprzód w dziedzinach, które mają bezpośredni związek ze sprawą bezpieczeństwa.

Strasburskie Zgromadzenie Doradczce Rady Europy i Zgromadzenie Unii Zachodnio-Europejskiej uważały za konieczne dać ostry i publiczny wyraz niezadowoleniu z powodu zaniedbań swych Komitetów Ministrów. Wielkie organizacje pozarządowe, jak Unia Europejskich Federalistów i Europejska Akcja Federalna, wyciągają logiczne wnioski z tych nastrojów, apelując o przyspieszenie powołania europejskiego zgromadzenia parlamentarnego w drodze wyborów powszechnych i bezpośrednich, którego zadaniem by-

łoby opracowanie konstytucji przyszłej europejskiej federacji. Nawet w Wielkiej Brytanii dojrzewają poglądy, że nie wolno pozostawać poza kręgiem zacieśniającej się politycznej i gospodarczej współzależności europejskiej. Ze strony państw europejskich krajów-członków Wspólnoty (Commonwealth) padają słowa zachęty pod adresem „starego kraju”, by wszedł we współdziałanie z powstającym Wspólnym Rynkiem.

Silny akcent „współzależności” w Deklaracji Waszyngtońskiej, zapowiedzi, że najbliższa Rada Paktu Północno-Atlantyckiego, na którą zjechać ma prezydent Stanów Zjednoczonych, również zajmie się sprawą ponadpaństwowych rozwiązań w dziedzinach technicznej, gospodarczej i politycznej współpracy, — usprawiedliwiają tezę Rady Naczelnej Europejskiej Akcji Federalnej na październikowym posiedzeniu w Hadze: „...w epoce obecnej, gdy polityka, ekonomia i zagadnienia społeczne są nierozłączne, byłoby utopią poprzestawać na integracji li tylko gospodarczej; każdej chwili może zaistnieć konieczność pobierania decyzji ogromnej wagi, dotyczących losu Europy, jej regionów, jej narodów; w takich decyzjach interesy zbiorowości europejskiej będą musiały być reprezentowane przez organy europejskie, wyposażone we władzę rzeczywistą o odpowiedzialności jasno określonej...”

KRUPP I REICHSTAG...

Dlaczego kanclerz Adenauer rzuca swój duży prestiż na szalę interwencji, której celem jest odbudowanie przemysłowego imperium Kruppa? Dlaczego rząd zachodnich Niemiec sam nie dostrzega, że w interesie Niemiec, jako „dobrego Europejczyka”, jest dopilnowanie, by największy koncern, który był kregosłupem niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, został podzielony, zgodnie

ze zobowiązaniami wobec Aliantów? Słusznie prasa brytyjska dopatruje się w staraniach rządu w Bonn dodatkowego argumentu za niedopuszczeniem do sfałszowania podzielnego koncernu.

Dlaczego propaganda „wielkoniemiecka” zaczyna działać dokoła sprawy odbudowania spalonego gmachu Reichstagu w Berlinie? Są pilniejsze prace do wykonania; jeżeli zaś ruina ma być odbudowana, pożyteczniej by było dla Niemiec i ich roli w Europie, przetrzymać od razu b.parlament na gmach wyśław czy galerii obrazów, niż planować stolice państwa w pogranicznym mieście. S. G.

CZTERDZIEŚCI LAT TEMU

(Dokończenie ze str. 12)

Zwycięstwo zamachowców. O godzinie 10 wieczorem batalion kobiecy złożył broń. Kadeci z Oranienbaumu wyrazili pragnienie odejścia. Ministrowie Palczyński i Tereszczenko, trupio bladzi, daremnie przeciw temu protestowali. Wielu spośród oficerów w galeriach i korytarzach płakało z upokorzenia i wstydu.

Trudno w szczegółach odtworzyć, co się potem stało. Z nagle padłą wiadomością, że dowódca kadetów w pałacu skapitulował. Grupy marynarzy, uzbrojonych w karabiny, pistolety, sztylety i granaty ręczne, obwieszonych pasami z nabojami, przedarły się aż do słynnej „galerii roku 1812” poświęconej pamięci generałów rosyjskich z wojny z Napoleonem. W gabinecie przy tej galerii obraduje wciąż jeszcze rada ministrów.

Zjawia się mały czlowieczek ze stalowymi okularami na ostro zarysowanym nosie, ze świdrującymi oczami i kapelusikiem na głowie, spod którego sterczą nieczesane, kłaczaste włosy. Jest to właśnie Antonow-Owsienko. Paru kadetów stoi jeszcze przed gabinetem. Śmiertelnie wyczerpani opuszczają karabiny. Z daleka dochodzą wycia, nie mające w sobie nic ludzkiego. Marynarze robią po'owanie na dziewczęta batalionu kobiecego. Wszystkie bez wyjątku zostały zgwałcone, a później pomordowane.

Minister Palczyński przyjmuje komisarza. Jest godzina 1.50 po północy, dnia 27 października (8 listopada). Komisarz zaklina marynarzy, by zachowywali „dyscyplinę rewolucyjną”. Mija dziesięć, dwadzieścia minut. Potem, o godzinie 2.10 Antonow-Owsienko znów wychodzi z gabinetu i wydaje rozkaz, by oddział 25 ludzi wyprowadził „pacholków kapitału”. Rząd tymczasowy skapitulował.

Bolszewicy zwyciężyli. Niczego już w tym nie mógł zmienić fakt, że w następnych dniach kadeci w Piotrogradzie jeszcze raz próbowali zorganizować opór, że Kiereński usiłował jeszcze raz sprowadzić wojska z tym rezultatem, że oficerowie Krasnowa odmówili mu zaufania, ani też, że w wielu miastach Rosji trwał opór przeciw rewolucji bolszewickiej. Wszystko to nie mogło uratować pierwszej demokratycznej republiki rosyjskiej.

SPROSTOWANIE

W artykule Wojciecha Wasutyńskiego, umieszczonym w nrze 44/541 ŻYCIA z dnia 3. 11. 57. wkradły się trzy błędy korektorskie: 1) na str. 5, wiersz 1, łam 2 — powinno być „sztywnych” a nie „szucznych” form organizacyjnych; 2) na str. 6, łam 2, wiersz 17 — ma być: „w jednym zasadniczo języku” (a nie „zasadniczym języku”); 3) na str. 6, łam 3, wiersz 3 — miało być „sesji plenarnej”, wydrukowano zaś „parlamentarnej”. Przepraszamy Czytelników i Autora za te zniekształcenia.

LUDZIE I ZDARZENIA

Gerard Balmes jest przywódcą niedawno założonej w zachodnich Niemczech organizacji politycznej pod nazwą „Kółko Młodych Monarchistów”. Ugrupowanie to wydaje własny miesięcznik pt. „Warta Honorowa”, a ostatnio zdobyło dla swej akcji propagandowej witrynę znanej restauracji w Bonn (są podobno osoby doszukujące się tu niepokojącej analogii z pewną podziemną piwiarnią w Norymberdze). Pretensje tej grupy skierowane są przede wszystkim przeciwko Francji; wspomnianą wyżej witrynę zdobi aktualnie transparent z napisem: „Alzacja i Lotaryngia — kraje niemieckie”. Październikowy numer „Warty Honorowej” wysuwa przy tym twierdzenie, że „nie będzie ani zdrowych Niemiec, ani zjednoczonej Europy, ani w ogóle lepszego świata tak długo, jak długo nie odbuduje się Prus na ich dawnych podstawach duchowych, historycznych i geograficznych”. Wprawdzie „Młodzi Monarchiści” są naprawdę bardzo młodzi (prezes liczy sobie lat 19), któż jednak zna wiek i przesłanie ich inspiatorów i doradców?

Matura europejska będzie oficjalnym egzaminem dojrzałości dla uczniów szkoły średniej stworzonej w Luksemburgu pod auspicjami Wspólnoty Węgla i Stali. Uczniowie ci, których jest w tej chwili 400, słuchają wykładów w czterech je-

zykach: francuskim, niemieckim, włoskim i holenderskim, zaś programy historii i geografii zmodyfikowane dla nich zostały w sposób podkreślający to, co łączy, zamiast tradycyjnie uwypuklać to, co dzieli narody europejskie. Skądinąd dowiadujemy się, że w r. 1958 powstać ma w Paryżu „Europejska Szkoła Interesów”, która formować będzie przyszłych kierowników i personel przedsiębiorstw między państwowych. Instytucji tej patronuje paryska Izba Handlowa.

James Miller jest człowiekiem, który — według własnych zeznań — nie dokonał i nie zamierzał dokonać w życiu niczego, co miałoby zwrócić uwagę na jego osobę. „Trudni” on się zawodowo i z zamiłowaniem włoścogostwem, należąc do tej, niesłusznie pogardzanej kategorii naszych bliźnich, którzy w krajach anglosaskich noszą nazwę trampów, a we Francji znani są jako „clochards”. Dziwnym tym ludziom i ich życiu poświęcano już nowele, filmy, a ostatnio także poważne rozprawy socjologiczne. Dowiedzieliśmy się z nich, że w wielkich miastach Europy i Ameryki znikła rocznie tajemniczo i nieoczekiwanie pewna ilość obywateli. Nie popełnili oni żadnego przestępstwa, nie zostali porwani, ani nie są ofiarami amnezji. Po prostu tęsknota za wolnością okazała się u nich w



pewnej chwili silniejsza niż wszystkie więzy, a nawet przyzwyczajenia. Zapragnęli pozbyć się swej pozycji społecznej i jej serwitutów, nierzadko kompli-

kacji rodzinnych, bezpiecznego dobrobytu. Szukając spokoju, wybrali nędzne, lecz w pewien sposób szczęśliwe życie ludzi ignorujących społeczeństwo. Nie wiemy oczywiście, do jakiej kategorii włóczęgów należy sympatyczny James (fotografia u góry). W ogóle nic o nim nie wiemy, poza tym, że swawolny student medycyny uniwersytetu w Edynburgu postawił demonstracyjnie jego kandydaturę do godności rektora. Można się z tego domyślać, że pomiędzy szkockimi medykami a dotychczasową Magnificencją były jakieś zasadnicze różnice zdań.

Rangoon, stolica Burmy, była niedawno świadkiem niezwyklej defilady. Kilka tysięcy mnichów, przybyłych z buddyjskich klasztorów całego kraju, przeszło w uroczystym pochodzie przez miasto (nasze zdjęcie u dołu strony). Celem tej demonstracji było wezwanie rządu centralnego, by przedsięwziął środki, które położyłyby kres napadom różnego rodzaju partyzantów — przede wszystkim Karenów — oraz band rabunkowych będących prawdziwą plagą rolniczej ludności Burmy.

